N. 47. WARSZAWA d. 13 (25) Listopada 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Od Redakcji.

Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1872 wychodzić będzie w tym samym jak dotąd formacie, i pod temi samemi warunkami co do obniżenia ceny prenumeracyjnéj. Po ukończeniu drukujących się dwóch powieści J. I. Kraszewskiego i Dickensa, rozpoczniemy nowe oryginalne: p. Elizy Orzeszkowéj, Walerji Marrené (Morzkowskiéj) J. I. Kraszewskiego, J. Zacharjasiewicza, Lisickiego, i innych których współudział mamy stale dla pisma naszego zapewniony. Z powieści tłomaczonych pomieścimy: **Miłość dziewicy** w przekładzie pani Joanny Belejowskiéj, i **Zagadkowe natury** Fr. Spielhagena spolszczonéj przez M. Gliszczyńskiego.

Wszyscy nowi prenumeratorowie dodatki z rozpoczętemi w tym roku powieściami, otrzymają za zgłoszeniem się do Redakcji bezpłatnie.

Cena prenumeraty obniżona wynosi:

W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.

Na prowincji tak w Cesarstwie jak Królestwie z przesyłką pocztową:

Kwartalnie	rs. 2 kop. —
Półrocznie	„ 4 „ —
Rocznie	„ 8 „ —

Upraszamy o wyraźne wypisywanie nazwisk i ostatniéj stacji pocztowéj, jak również o przysyłanie należytości wprost do Redakcji pod adresem: do J. K. Gregorowicza Redaktora Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Żabia Nr. 956 (nowy 6).

Koncert podsłuchany.

Drogą ku Wiedniowi toczyła się po zmarzniętéj grudzie dość uboga parokonna bryczka. Było to w zimie, późnym wieczorem. Na przyległych polach gdzieniegdzie tylko bieliły się niewielkie płaty śniegu, okolica więc przedstawiała krajobraz bardziéj jesienny niż zimowy. Mężczyzna który siedział na bryczce, nie był okryty kosztownym futrem, lecz lichym płaszczem, nie miał jednak powierzchowności ani spiessbürgera wiedeńskiego, ani chłopa austryjackiego, ani był podobny do téj bezdusznéj, z wielkim nosem i szklannemi oczyma istoty, którą austryjackim nazywają urzędnikiem. Twarz jego była pogodna, nawet wesoła, chociaż głęboko wyryte linie około ust, znamię trosk tajemnych, dość wyrazisty cień na nią rzucały. Był zadumany, ale i zadumanie jego miało w sobie coś niezwykłego, i ktoby się uważniéj przypatrzył naszemu podróżnemu, odgadłby zaraz, że ma do czynienia z filozofem niemieckim, gubiącym się w błędnem kole przyczyn i skutków. Nasz podróżny zdawał się raczéj przysłuchiwać tym tajemniczym tonom, co nieustannie brzmią w całéj przyrodzie nawet wśród ciszy nocnéj, lub może wrzawie stłumionéj, która zalatywała go z miasta, i zapewne głęboko czuł tę muzykę, nie dla każdego zrozumiałą, bopierś jego podnosiła się i opadała szybko, jakby pod wpływem głębokiego wzruszenia.

Bryczka minęła już cały szereg domów przedmiejskich, gdy nagle potknęła się gwałtownie. Czy się oś złamała, czy koło pękło, nie wiemy; dość, że był to jeden z tych pospolitych w podróży wypadków, które tak często przerywają wolny bieg myśli jadącego, a w taką niecierpliwość wprawiają woźniców.

— Krucitürken! halt! halt! krzyknął siedzący na koźle parobek czystym wiedeńskim akcentem, czyli raczéj tak nieczystym, że od Renu po Bałtyk żaden Niemiec zrozumieć go nie zdoła, jeżeli nie miał szczęścia urodzić się w okolicy starożytnego grodu Babenbergów.

Wstrzymawszy konie, zeskoczył z bryczki i naprawił co się zepsuło, byle jako tako dociągnąć do domu. Ten co siedział na bryczce, nie ruszył się wcale z miejsca, lecz westchnął tylko, jakby na zakończenie przerwanéj pieśni i poprawiwszy się, przybrał znowu tę samą co pierwéj postawę, a nie troszcząc się bynajmniéj o to, co się z nim dzieje, wytężył słuch w przestrzeń bezmierną, chwytał tony na falach wiatru płynące i snuł daléj w duszy pieśń niedokończoną.

Nic dziwnego że zajęty swemi myślami, nie zważał wcale gdzie się znajduje, a jednak warto było obejrzeć się dokoła. Tuż nad drogą stał wspaniały, chociaż już w owym czasie, to jest w r. 17.. starożytny pałac, w téj chwili wspaniale oświetlony i przystrojony, jakby bal miał się w nim odbywać.

Był to pałac hr. R. Salon na pierwszym piętrze lśnił w całym blasku ówczesnego przepychu, świadczącym o znakomitych dostatkach i wybornym smaku gospodarza. Gości było mnóstwo, całe wyborowe towarzystwo stolicy: panowie w perukach starannie ufryzowanych, w pończochach i trzewikach ze szpadami u boku i trójgraniastemi kapeluszami pod pachą panie w lokach: w świetnym i kosztownym stroju balowym, który mienił się cudnie przy rzęsistym oświetleniu.

Towarzystwo podzieliło się na gruppy. Pod jedną ze ścian sali urządzone było podwyższenie, na którem stała orkiestra; za nadto jednak była świetna i liczna i zanadto wiele zajmowała miejsca aby przeznaczeniem jéj mogło być przygrywanie do tańca. Jakoż nie był to bal, lecz koncert. Wszyscy co się tu zebrali, byli zapewne prawdziwemi zwolennikami muzyki, bo z gorączkową prawie niecierpliwością jedni drugich wypytywali co przygotowano na koncert.

— Najświeższą symfonię Heydna, odpowiadał z zadowoleniem gospodarz, dumny że gościom swoim tak miłą sprawił niespodziankę.

Szmer zadowolenia rozszedł się po cali i podczas gdy amatorowie mający wziąść udział w koncercie, kończyli strojenie instrumentów, w salonie toczyła się cicha rozmowa; której osią była ciągle muzyka.

— Szkoda że tu nie ma baroua, rzekła piękna melancholijna wiedenka, do siedzącéj obok siebie matki, gdyby zobaczył jaki zapał wznieca ta muzyka we wszystkich, nie dziwiwiłby się, że przekładam ją nad wszystko w świecie, nad niego.

— Czy osiągnąłeś pan już cel swoich życzeń, spytał jakiś niski człowiek lorda L. który przed kilkoma dniami umyślnie przyjechał z Londynu aby poznać Heydna.

— Dotąd nie, odpowiedział lord: poznałem tylko jego kompozycję, któremi cały Wiedeń oddycha, lecz jego samego, nie widziałem. Siedzi ciągle u księcia Esterhazego w Eisenstein i dopiero temi dniami ma powrócić.

— A czy pan wiesz gdzie staje za przybyciem do Wiednia?

— Wszystko wiem, wszystko widziałem, wszystko zbadałem co tylko tyczy się Heydna, wycedził Anglik; nie widziałem tylko trzech rzeczy: jego samego, jego zegarka i płaszcza.

— Bodaj to być Anglikiem, pomyślał niski elegancik.

Opodal w orkiestrze, ten co miał nią dyrygować, zabierał się do swego zadania z niezwykłemi przygotowaniami.

— Baczność! baczność panowie! wołał do otaczających go artystów: niech wam się zdaje że sam Heydn stoi za wami i słucha.

Każdy wziął do ręki swój instrument, nastąpiła chwila milczenia, wreszcie na znak dany przez kapelmistrza, zaczęli.

Podróżny który siedział na bryczce przed pałacem drgnął i spojrzał w około siebie. Na jego twarzy odmalowało się miłe zdumienie. Woźnica wskoczył właśnie na bryczkę i chciał ruszyć.

— Stój! krzyknął podróżny wysiadając z pośpiechem i czekaj dopóki nie powrócę.

To mówiąc zwrócił się szybko ku pałacowi, wpadł do sieni i minąwszy ją prędko, pobiegł po schodach na górę. Przedpokój był oświetlony i stał otworem lecz nie było w nim nikogo. W przyległéj sali tony muzyki drżały z całą potęgą. Obcy przysunął się do drzwi, nadstawił ucha i słuchał.

Któż opisze tę grę uczuć która odbijała się na jego twarzy? Było tam i zadowolenie wewnętrzne i uśmiech goryczy i smutek prawdziwy. Wszystko tam było, czem przepełnione jest serce człowieka, umiejącego czuć. Zapomniał zapewne że wszedł do cudzego domu i że podsłuchuje pod drzwiami. O niczem nie wiedział, o niczem nie myślał co się odnosiło do świata zewnętrznego; muzyka porwała całą jego duszę i poniosła daleko, daleko w podniebia zaś wiatne, w sfery poezji. Tam unosił się duch jego i bujał w tych nie każdemu znanych, nie każdemu dostępnych wyżynach.

Wtem z drzwi obok będących wyszedł służący w liberji. Zobaczywszy obcego zdumiał się i stanął za nim. Dość długą chwilę przypatrywał się mu w milczeniu, bo tak był zgorszony zuchwalstwem podejrzanego natręta, że mu głos zamarł w piersi. Po niejakim czasie przyszedł wreszcie do siebie i schwyciwszy obcego za płaszcz, krzyknął z nienacka:

— A!... złapałem wacpana na gorącym uczynku.. jesteś ptaszku...

Ocknął się obcy i poznał całą niestosowność swojego w téj chwili położenia, o nic mu jednak tyle nie chodziło. jak o to, że służący przeszkadzał mu słuchać i to może właśnie w miejscu najważniejszem.

— Cicho, cicho, szeptał półgłosem usilując ułagodzić rozjątrzonego stróża przedpokojowego porządku; ja nie jestem jeden z tych co to... słucham tylko muzyki.

— Tu nie jest miejsce do słuchania... to pałac hrabiego R., podsłuchiwać nie wolno, proszę wyjść.

Obcy sądząc może iż własnem milczeniem najłatwiéj uciszy gadatliwego sługę, nie odpowiedział ani słowa. Nic to jednak nie pomagało; służący wziął go za płaszcz i ciągnął z całéj siły.

— Proszę iść, proszę iść precz!

Obcy sięgnął do kieszeni i wydobywszy parę sztuk srebrnéj monety, wsunął służącemu. Środek ten, który podobno jeszcze nigdy i nikogo nie zawiódł, i tym razem okazał się skutecznym. Zapalony zwolennik muzyki okupił kilku srebrnikami milczenie pokojowca i mógł znowu słuchać spokojnie. Ale nie długo to trwało. Gdy muzyka umilkła, służący dalejże znowu nalegać:

— Dosyć pan słyszałeś, zabieraj się teraz i idź.

— Nie, mój kochanku, odpowiedział obcy; skończyło się wprawdzie *allegro*, ale teraz będzie *adagio*, muszę słyszeć koniecznie.

— To być nie może, zawołał służący. Ja nie pozwolę; nie mam czasu stać tutaj i pilnować.

— Ale co tam! Muszę koniecznie! zdekrzł obcy zajmując napowrót swoje miejsce pod drzwiami; jakby to była loża, którą na cały koncert zakupił.

Służący jednak czując się w swojem prawie sprzeciwił się temu stanowczo. Szczęściem w żyłach jego nie płynęła gorąca krew mazurska; nalegał dość natarczywie, ale przecież nie tak energicznie jakby to np. nasz Mateusz uczynił; kilka razy wziął obcego za płaszcz już go nawet ciągnąć próbował, ale to wszystka powolnie. W tem otwarły się drzwi od sali. Jakiś pan wyszedł a popatrzywszy na obcego, zdumiał się i cofnął.

— Czy mię oczy zwodzą? Nie, nie, ja się nie mylę. Cóż za szczęśliwa gwiazda sprowadza pana w nasze grono?

To mówiąc zwrócił się ku sali i uchyliwszy drzwi, zawołał głośno.

— Przygotujcie się państwo na nową niespodziankę: Józef Heydn jest tutaj!

Słowa te jakby iskra elektryczna przebiegły po całem zgromadzeniu. Wszyscy rzucili się ku drzwiom i zrobili koło, w które właśnie wstępował autor Siedmiu słów, Czterech pór roku i tych czarownych symfonji z których tak zasłynął.

— Gramy właśnie ostatnią symfonię pana, rzekł kapelmi strz, ściskając go za rękę.

— Słyszałem od początku, odpowiedział Heydn.

— Jakto? Czemu pan nie wszedłeś.

— Nie chciałem wam przerywać.

— To się nie godzi, panie Heydn, rzekł gospodarz z serdeczną uprzejmością.

— Pan hrabia raczy darować, odpowiedział Heydn; nie byłem mu znany osobiście, nie miałem więc śmiałości.

Ścisk coraz większy powstawał w około Heydna. Wszyscy pchali się po kolei aby go zobaczyć i uścisnąć jego rękę, tę rękę, co tak cudne wydobywała tony z instrumentu i tak wielkie tworzyła dzieła.

Nagle oczy wszystkich zwróciły się w jedną stronę. Lord L. nie mogąc przecisnąć się do Heydna, dla zobaczenia którego umyślnie przyjechał z Londynu, wszedł na stół i ztamtąd nasycał się jego widokiem.

Wzniecilo to powszechną wesołość. Lord zeskoczył wreszcie ze stołu i zbliżył się do Heydna.

— Czy mogę prosić pana która godzina? zapytał muzyka, mierząc go jeszcze raz od stóp do głów.

Heydu spojrzał na niego zdumiony. Nieraz zasięgano jego zdania w rzeczach dotyczących muzyki, ale jeszcze mu się nigdy nie zdarzyło, aby go kto zapytał w salonie, która godzina.

Niski elegancik stojący tuż po prawéj ręce lorda, uśmiechał się znacząco gdy lordowi dziesięć od razu pokazano zegarków, wiedział bowiem że Anglikowi nie idzie o godzinę, lecz o poznanie jednéj z trzech rzeczy, dla których przedsięwziął tak daleką podróż.

Podstęp się nie udał. Heydn nie okazał zegarka, Lord niezadowolony oddalił się w złym humorze, a tymczasem melancholijne Niemeczki robiły rozmaite postrzeżenia nad powierzchownością Heydna.

— Cóż znaczy ten smutek przebijający się na jego twarzy z po za uśmiechu i naiwnéj wesołości? pytała jedna.

— Wspomnienie Joanny Keller! odrzekła sąsiadka z westchnieniem.

— Czy Joanna została już zakonnicą?

— Od roku, odpowiedziano.

— I ożenił się z jéj siostrą?

— Niestety, tak.

— Biedna Joanna!

— Ach, on stokroć biedniejszy, bo chociaż obie siostry w nim się kochały, przekładał Joannę nad Dorotę i gdyby nie miłość dla siostry i obowiązki wdzięczności dla całéj rodziny, nigdy zapewne niebyłby się ożenił z Dorotą.

— Czy nie jest szczęśliwym z żoną?

— Mówią że nie.

— Sam sobie winien, czyli raczéj winna wszystkiemu fatalna namiętność podsłuchiwania muzyki zawsze i wszędzie, gdzie tylko zdarzy się sposobność. Gdyby nie był wśród ulewnéj burzy słuchał pod oknami na ulicy jak Gluck grał, nie byłby się przeziębił, nie byłby się w skutek tego rozchorował śmiertelnie, a Joanna, już wówczas jego narzeczona nie byłaby robiła ślubu, że jeżeli Bóg powróci mu życie zostanie Urszulinką.

— Okropny ślub!

— A jednak nie wystudził w nim zapału do muzyki, wszakże i dziś podsłuchiwał pod drzwiami.

— Ale przecież przedpokój opalony.

Umilkły. Orkiestra zaczęła się przyspasabiać do wykonania adagio. Wszyscy wytężyli uwagę i nastała chwila głębokiéj ciszy: nawet oddech tłumiono. Kapelmistrz dał znak — zaczęli.

St. N.

KORESPONDENCJA

TYGODNIKA MÓD.

Wiedeń w początku listopada 1871 r.

Jesień— Inseraty— Ob schön, ob Regen, jeder Fren geht zum Sperl — Marja Stuart w Szkocji — Euryanth i ustęp z życia Webera — Fantazia — Der kategorische Imperativ. — Ostatni gwardzista — Szewc z Sztrazburga.— Emancypacja kobiet w Gracu i w Wiednia — Gimnastyka dla kobiet przez Lizetę Wilhelmi.— Sztuka w domu — Anna Luksemburgska. — Regulamin czynności soboru trydenckiego— Inkwizycja św. w Hiszpanii Kaulbacha na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych.— Suchodolskiego Powrót z Moskwy — Kościół ślubowany Muzeum austrjackie i wystawa przemysłowa.

Zaledwie przewaliły się tłumy cudzoziemców, wracając tędy ze wszystkich kończyn świata na zimę do domu, ruch ożywił się na nowo zjazdem młodzieży i ludności miejscowéj, lato w górach lub w pobliskich willach przepędzającéj, a tak mamy jesień

gwarną i ludną. Zjazd młodzieży jest ogromny, zwłaszcza z Galicji stosunkowo więcéj, jak w inne lata przyjechało w tym roku. Niemcy nie szczędzą nam z tego powodu szyderstwa, ale przyznać trzeba że mają wiele słuszności, natarczywie bowiem domagano się zaprowadzenia języka polskiego na uniwersytecie i na technice we Lwowie a gdy to nastąpiło, kto tylko może wysyła dzieci do Wiednia, lub gdzieindziéj do Niemiec.

Ponieważ od tygodnia mamy dnie słotne, ruch na ulicach, pomimo zwiększonéj liczby ludności nie jest zbyt wielki, za to wszystkie lokale publiczne, zwłaszcza kawiarnie są przepełnione. Jest to także dowodem, że polityka górą, bo do kawiarni chodzi się głównie na gazety. Już to Wiedeń słynął zawsze z politykomania, wątpię jednak, aby kiedykolwiek bardziéj niż teraz zajmował się polityką i więcéj niż teraz gazet czytał. Ale bo też w gazetach było temi czasy wiele rzeczy ciekawych, zdolnych obudzić najpiękniejsze nadzieje. Szkoda, że te wszystkie nadzieje, razem z krótką ułudą, musiały tak prędko ustąpić miejsca rzeczywistości zimnéj jak grób, prawdziwie niemieckiéj, w całem tego słowa znaczeniu.

Otóż w kawiarniach ścisk jest niezmierny: niemożna jednak powiedzieć, aby komukolwiek co tam przyjdzie, zabrakło materjału do czytania, a przynajmniéj do przeżuwania. Gazet bowiem wychodzi takie mnóstwo, że chociażby się liczba czytających podwoiła i potroiła, każdy znajdzie coś dla siebie. Wszystkie stronnictwa, wszystkie odcienia, wszelkie ideje i wszelkie tendencje mają tu swoje organa, a każdy taki organ stara się ile możności odgadnąć i zaspokoić życzenia swoich czytelników. Za to jakaż różnica w zdaniach, wyobrażeniach, zapatrywaniach na jednę i tę samą sprawę! Jedna tylko rubryka mniéj więcéj dosłownie powtarza się we wszystkich dziennikach, częstokroć zapewniająca byt pismu, jeżeliby inne działy nie zupełnie odpowiadały wymaganiom publiczności, rubryka, któréj spółpracowników nie trzeba opłacać, bo owszem oni płacą za przyjęcie ich artykułów; słowem rubryka ogłoszeń, stanowiąca zwykle połowę każdego numeru pism wiedeńskich. Kto ma sposobność ich widywania, przyzna, że humbug amerykański wykształcił się w Wiedniu niepospolicie. Jakżeż wszystko w Wiedniu doskonałem, jak taniem wyda się temu, ktoby o stosunkach handlowych tego miasta, chciał sądzić z inseratów! A wszakżeż to pewien fabrykant zegarków ogłasza, że będzie dopłacał tym, którzy zechcą brać jego wyroby! Inny kupiec, ogłaszając podobne nieprawdopodobieństwa, dodaje wyraźnie, dla utwierdzenia czytających w zdumieniu; „*Nie do uwierzenia lecz przecież prawda*", a jeszcze inny błaga uniżenie; „*proszę przeczytać do końca*"; *Jedyny na całą Austrją skład najnowszych wynalazków*, to znaczy lichych galanterji i nędznych wyrobów z talmigold, *każdemu kto tylko swój adres udzieli, przesyła za darmo* — oczywiście nie wynalazki, lecz katalog tychże. Gdzieindziéj czytamy ciekawy inserat; *Geld, Geld, Geld*! trzy razy wielkiemi powtórzone literami! Idź tylko, pokaż się, a dla miłości twoich pięknych oczu. napełnią ci wszystkie kieszenie. Jest kilka, co mówię, kilkaset, może kilka tysięcy takich dobroczynnych zakładów, ale z nich wszystkich szczególniéj zaleca się sławny Kolin, „bo u Kolina według ogłoszenia *jest błogosławieństwo boskie*". Błogosławieństwo boskie! jakże to czule wygląda w inseracie. Jednem z oryginalniejszych rodzajów reklamy, jest rozdawanie kupującym fotografii, czy to wnętrza sklepu, czyli też kupców lub kupczyków. Pomiędzy inseratami w gazetach nie mało miejsca zabierają także wyznania miłości, zaproszenia na rendez — vous i t. p. których ogłoszenia policja zabronić by powinna ze względu na moralność publiczną. Przecież żaden inserat nie narzuca się tak często jak następujący: „Ob schön ob Regen; jeder Fremde geht zum Sperl, czy pogoda, czy deszcz, każdy cudzoziemiec idzie do Sperla". Jakoż istotnie każdy cudzoziemiec, może doprawdy w skutek wzrastającéj siły inseratu, idzie do Sperla: tutejsi nie chodzą tam wcale bo Sperl dawno już nie jest tem, czem był niegdyś. Sale Sperla bywały niegdyś przepełnione, i kto chciał poznać życie wiedeńskie, tam musiał go szukać. Dzisiaj, kto idzie do Sperla, ogląda się na wszystkie strony, aby niewidziano że tam wchodzi.

Sale napełniają się około godziny 11 w nocy. Ujrzysz tam o téj porze 20 do 30 dam w przepysznych balowych toaletach; w sukniach z niezmiernie długiemi ogonami, wystrojonych, wyelegantowanych, przechadzających się z największą powagą w towarzystwie młodzieży złotéj, często z siwemi już brodami. Są to powiększéj części cudzoziemcy. Garsony ujrzawszy ich natychmiast zlatują się jak kruki: oto szumi szampan, dymią się potrawy, woń papierosów rozchodzi się po sali; muzyka zabrzmiała, usposobienie publiczności staje się coraz weselsze, coraz mniéj ceremonialne. Koło północy, z szumem i trzaskiem przychodzi jak chmura, królowa z licznym obojéj płci dworem.

Następują tańce, którym towarzyszą pospolicie pozycje, jakiemi niejeden gimnastyk nie zdołał by się pochlubić.

Czyniąc zadość wymaganiom publiczności tutejszéj, która przesyciła się już operami włoskiemi i francuskiemi, dyrekcja opery nadwornéj wznowiła temi czasy „Euryanthe" Webera, dawno już zapomnianą i w nowéj operze jeszcze ani razu nie przedstawioną. Rzec można że opera ta stanowi poniekąd epokę w świecie muzycznym, ją bowiem Ryszard Wagner wziął za punkt wyjścia do reformy muzyki, rozwijając w dziełach swoich myśli tam rzucone tak pobieżnie. Jakoż „Lohengrün" Wagnera ma pod wielu względami niemało podobieństwa z Euryanthą. Przedstawienie powiodło się najzupełniéj, bo nie tylko wszyscy artyści odpowiedzieli godnie swojemu zadaniu, lecz także chóry i orkiestra zasłużone zjednały sobie oklaski. Mówiąc o operze Webera niepodobna pominąć, że w ostatnim czasie literatura muzyczna wzbogaconą została nową znakomitego kompozytora biografią pod tytułem: *Karol Maria von Weber in seinen Werken* przez F. W. Jähns w Berlinie. Wiadomo że już w r. 1861 syn Webera, wydał bardzo pięknie napisaną biografię ojca, lecz w téj przedstawił tylko życie jego zewnętrzne, podczas gdy Jähns opisuje nam duchowe życie mistrza. Nagromadził on w dziele swojem bardzo wiele materjału i uporządkował go ze wszech miar z wielką starannością. Oprócz oper, które są głównemi dziełami Webera, wymieniono tu dwie msze, dwa ofertorja, kantaty, hymny, symfonie, oddzielne uwertury, koncerta z orkiestrą, sonaty na fortepian, warjacje, kwintet, kwartet i trio, marsze i tańce na fortepian, tudzież przeszło sto pieśni na jeden i kilka głosów. Autor kreśli historją niemal każdego dzieła, przydając w uwagach mnóstwo wielce ciekawych szczegółów. W końcu wymieniono kompozycje zaginione, wątpliwe lub podsunięte do których należy także znany walc Reissigera który uchodzi za „Ostatnią myśl Webera." Historja produkcji dzieł Webera stanowi jeden z najbardziéj zajmujących rozdziałów. Dowiadujemy się z niego między innemi, że za Wolnego strzelca Weber otrzymał od opery berlińskiéj ośmdziesiąt frydrychsdorów. Pięćdziesiąt razy przedstawiono tę operę w Berlinie i zebrano z niéj 37,018 talarów czystego dochodu, w skutek czego intendentura chciała dodać mu jeszcze 100 talarów, lecz Weber podziękował ironicznym listem i nie przyjął dodatku. W ogóle książkę Jähnsa możemy najmocniéj polecić Czytelniczkom naszym, zwłaszcza interesującym się muzyką i literaturą niemiecką.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD

LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Studja nad literaturą polską XVII i XVIII wieku do czasów panowania Stanisława Augusta I.— **Hieronim Wespazjan Nieczuja z Kochowa Kochowski** przez Adama Rzążewskiego Mag. nauk histor. filolog. b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj. Nakładem autora. Warszawa. W drukarni J. Bergera, 1871 r. (w 8-ce str. 148).

Do rzadkich w obecnych czasach zjawisk literackich poważnéj pracy, należy powyższa monografia Wespazjana Kochowskiego. Na tle XVII wieku, tak mało znanego i zbadanego, postać to wydatna żołnierza-poety, historyka i ziemianina zarazem. W okresie w którym żył — wszystkie te zmiany stanu, u wyższych intelligencji były zwyczajne: ci którym Opatrzność odmówiła talentu pisarskiego, spełniali swą służbę na *kresach*, i na ojcowskiéj roli.

P. Adam Rzążewski po daniu dokładnego życiorysu Kochowskiego, a najpełniejszego ze wszystkich dotąd znanych, wylicza wszystkie prace jego tak poetyczne, jak prozą w polskim i łacińskim języku.

W sądzie poetów tak tego jak i następnego wieku, potrzeba wielkiego umiarkowania i rozwagi sumiennéj. Zgadzamy się z autorem monografji, że *Liryki* Kochowskiego, które na czele kładzie, były zbyt pobieżnie cenione. Nie dziwimy się temu, bo wieluż to autorów *Historji literatury polskiéj*, starało się przynajmniéj znakomitszych pisarzy w dziełach ich studjować? „Owczym pędem" jeden drugiego przepisywał, błędy się coraz więcéj mnożyły— a do ładu trudno dojść, bez pojedynczych monografii. Praca to niemała, ale trud mozolny czeka wdzięczne uznanie, za prawdziwą usługę dla literatury krajowéj. Dopóki nie wyczerpiemy badań nad szczegółowemi pisarzami, i niezbędziemy się na monografje, jakie nam dali poprzednio *Przyborowski*, *Węclewski*, *Tyszyński* i wielu innych a obecnie p. Rzążewski, usiłowania do napisania dokładnéj historji literatury będą próżnemi wysiłkami jedynie.

Wespazjan Kochowski jak mówiliśmy wyżéj, jest wydatną postacią a dotąd mało znaną, gdyż pisma jego długi czas były rzadkością, dopóki nie wyszły w przedruku J. K. Turowskiego. Teraz poznaliśmy i drobniejsze jego utwory, a wysokiéj rzeczywiście wartości. Jako historyk, gdy pisał po łacinie małéj tylko liczbie naukowych ludzi mógł być znajomym.

P. Rzążewski, ocenia go pod każdym względem Sąd jego jest pobłażliwy jako dla poety, pomimo to, przy głębszéj rozwadze uznajemy go za sprawiedliwy, bo oceniał Kochowskiego w ramach właściwych jego czasu, pojęć, i wychowaniu naukowemu. Język nie ma ani czystości ani potoczystości wielkiego poety Jana Kochanowskiego, który po wiek wieków pozostanie tym dla XVI wieku, czem jest i będzie dla naszego stulecia Adam Mickiewicz.

W pięknéj bijografii na czele pomieszczonéj, czytamy o naszym poecie zajmujący ustęp.

„Od pierwszych lat swojéj młodości, to książką, to szablą zajęty, nie dopuścił do serca swego uczucia miłości, jakkolwiek, jak to widzimy z jego liryków, wrażliwy był na wdzięki niewieście. Dopiero, kiedy osiadł na własném roli swéj zagonie, a Rzeczpospolita zwolniła go na chwilę od posług, z wrodzoną przodkom naszym praktycznością i taktem, obejrzał się za dozgonną towarzyszką, za gospodynią i panią małéj swéj chudoby. Praktyczny pogląd na miłość, oraz dochodzący już czwarty krzyżyk wieku, nie przeszkodziły mu wcale kochać, jak się kocha w pierwszéj wiośnie życia. Kto była jednak ta, co wzbudziła namiętną miłość poety, i została później dozgonną jego towarzyszką, nie udało się nam wyśledzić. Z aktu jéj zejścia dowiadujemy się tylko, że imię jéj było *Marjanna*. Z nią czterdziestoletni szlachcic, chrztem krwi zlany pod Gnieznem, poeta i polityk narodowy: mąż z nauki i z zasług poważany, nie wahał się grać w *zielone*, a z jakimże zapałem z jaką radością dziecinną, cieszy się, ilekroć mu się uda bohdankę swoją w grze pochwycić i zażądać zielonego kiedy go nie ma...

„Jak opisuje jéj wdzięki...

Twarz, a na twarzy kolor szkarłatowy,
Wargi z koralów, a oczęta jak kruki,
Z nich promień bije wskróś dyjamentowy!

„Ale natychmiast przychodzi mu do głowy myśl poważna:

„Ujmują lata bieżące gładkości,
W urodę często choroba uderza,
Ale gdzie z wiarą powaga w skromności,
Do wstydliwego bezpieczeństwa zmierza:
Skłonność nie niska, statek bez hardości.
Swobodnéj myśli dotrzyma przymierza.
Nie bystre oko, nie rozrzutna mowa,
Poczciwa w oczach jako anioł prawy,
Posłuszna, gdy co każe starsza głowa,
Nie umizga się, nie stroi postawy.
Stateczny umysł, skutku pełne słowa,
Wzrok, jako promień słoneczny, łaskawy.
Choć siła ważą gładkości klejnoty
Twe mnie Maryno zniewoliły cnoty.

„Chociaż więc czas zatracił nazwisko Maryny, ale w miejsce nie nie mówiącéj nazwy, został jak widzimy, dokładny jéj obraz odmalowany słowy rozkochanego poety. Marjanna bogata była we wdzięki, ależ to zwykłe dziedzictwo naszych kobiet, ale taż sama Marjanna, posiadała wysokie cnoty naszych prababek, cnoty które stojąc na straży domowego ogniska, umiały utrzymać w karbach umiarkowania butny ferwor staréj szlachty, co czuwając nad kolebką dziecięcia, wychowywały dzielnych synów; a

skrzydłem szczęścia i domowego spokoju otaczały familją. Takich to niewiast zasługa, że rodziny nasze tak długo nie dopuściły do siebie jadu zepsucia. Taką towarzyszkę dostawszy Kochowski zapomniał, że są na świecie godności, tytuły, zaszczyty, bogactwa, a wiedział tylko o swem szczęściu domowem, o miłości żony, i o skromnym swym ale umiarkowanym dostatku szlacheckim. W tym względzie nie różni się on zupełnie od Jana Kochanowskiego i jemu się uśmiechała karjera, i tego by chętnie widziano na dworze, ale na podobne myśli odpowiada:

Niechaj kto chce stawa blizki
Przy królewskim tam tronie,
Ja zaś w swojej chatce nizkiéj
Bezpieczniéj wesprę skronie
Prózen kłótni i chałasu,
Smaczno chleb jem choć z solą,
W swym kąciku pewien wczasu,
Groźby mnie nie niewolą!"

Przywiedliśmy ten mały ustęp, ażeby dać wyobrażenie czytelnikowi, o sposobie w jakim przebiega autor życie Kochowskiego, i jak starannie badał każdy jego szczegół. Z równą troskliwością podaje nam spis bibliograficzny, wszystkich pism jego, a następnie pojedynczo każdą rozbiera. Zwracamy uwagę, na ocenę *Psalmodji polskiéj* tego poety, którą nam p. Rzążewski w obszerniejszych rozmiarach podaje, jak na to zasługiwał, znakomity ten utwór Wespazjana Kochowskiego, w którym nie brak wzniosłych myśli jakto naprzykład:

„Jest Bóg i w poetach,
Jest ogień z nieba dany ich duszy!

Pobieżniéj, autor ocenia jego zasługi jako historyka, stanowisko jego pomiędzy pisarzami w tej gałęzi jest wcale nieposlednie. Małe w téj części niedostatki, okupuje całość monografii pracowicie obrobionej, z prawdziwą miłością dla wybranego przedmiotu.

P. Rzążewski nadpisem danym na karcie tytułowéj, jak i we wstępie swoim, przyrzeka dalszy ciąg monografii wtym zakresie: gorące nasze życzenia zawsze mu towarzyszyć będą, aby spełnił te zamiary tak piękne i użyteczne. Po Kochowskim — czekamy *Samuela ze Skrzypnéj Twardowskiego*, owego poety twórcy ogromnych poematów historycznych, z których poważny badacz dziejowy, może czerpać obfite zasoby.

Wł.

Pogadanka.

Kiedym raz rozmyślał nad marnościami świata i wszystkich zamieszkujących go robaczków, począwszy wymoczka z głębi oceanów aż do człowieka, mimowoli przyszło mi do myśli stare przysłowie: mądry Polak po szkodzie, które od pewnego czasu marnieje pomiędzy nami, stara się przerobić i naturalizować w innych miejscowościach. Wyraźnie pozazdrościli go nam sąsiedzi i niesąsiedzi, oby tylko na tem skończyła się ich pożądliwość.

Rzym w roku zeszłym zatopiony wylewem Tybru, na spodziewany tegoroczny zalew przygotował trzysta łodzi i tratew i mnóstwo innych przyrządów do ratowania tonących, bez czego jakoś dotąd obchodząc się słusznie wyrzec może: mądry Rzym po szkodzie. Austrja zmartwiona Sadową a Francja Sedanem, przekonawszy się smutnem doświadczeniem, że nie dość jest mieć krocie karabinów i tysiące armat, ale trzeba i głów inteligentnie niemi powodujących, ogłosiły nareszcie przymusowe szkolne kształcenie tłumów ciemnego dotąd ludu, czego przedtem unikały jak zarazy. Po szkodzie więc zmądrzał Francuz i Austryjak, a nawet jak obecnie i Anglik sięgnął po rozum do głowy, bo odtrącony jak kotek od mleka od sprawy stałego lądu, w obawie aby ten ląd stały do jego spraw nie chciał się wmieszać, pomyślał o obwarowaniu brzegów swojéj wyspy i o wydobyciu ze starej rutyny całej organizacji wojskowéj, która go wystrychnęła w końcu na dudka, okopconego dymem fabrycznym, a węglem umorusanego. Wreszcie i świat cały zmądrzał po szkodzie, bo przekonawszy się że w postępie ogólnéj oświaty, niemożna nikogo bezkarnie wyłączać z przybytku światła i nauki, roztworzył podwoje wielu uniwersytetów dla kobiet, z których w samych Stanach Zjednoczonych w Michingan, przeszło trzysta zapisało się na różne fakulteta. W Zurychu w Szwajcarji niedawno doktoryzowała się panna Dimock, licząca obecnie dwadzieścia cztery lat wieku, na czterech innych fakultetach znajduje się kilkanaście także panien, a panna Mestorf wysłaną została przez senat miasta Hamburga, na kongres archeologiczny do Bolonji, aby stanąć w rzędzie uczonych zebranych niemal z całego świata. Wiedeń o sławę dla kobiet nie sięgając tak wysoko, posiada za to jedyną w świecie orkiestrę złożoną z dwudziestu czterech kobiet pod dyrekcją panny Weinlich, która wraz ze swemi towarzyszkami wyjechała do Nowego Yorku, aby urokiem tonów muzycznych rozgrzać serca zimnych Jankesów.

Zmądrzenie to po szkodzie i w drobnych przedstawia się szczegółkach. Dawniéj w Niemczech nie wiedziano nawet, że na świecie żyje literatura polska, dziś w przekładzie niemieckim już pokazują się różne dzieła z jéj dziedziny, a niedawno wydano w Lipsku Konrada Wallenroda Mickiewicza w tłomaczeniu dokonanem przez Dr. Wejssa. Dawniéj w garderobie, w stajniach, w wozowniach i w piwnicach pałacu tuilleryjskiego, leżały stosy bielizny. stały setki koni, powozów i tysiące butelek i beczek drogocennego wina, dziś wszystko to przez publiczną przedaż zmieniono na brzęczącą mamonę, a cesarz Napoleon postanowił odtąd żadnych nie robić zapasów, aby nie przysparzać tego, co już tyle złości broi na świecie.

Podobnych drobnostek przemawiających za przyswajaniem przez obcych naszego przysłowia, mógłbym bardzo wiele przytoczyć, ale lękam się abyśmy patrząc na wywóz zagranicę nie tylko pszenicy ale i tego co nas ośmieszało, nie osądzili wreszcie, że staliśmy się podobni do wozu z góry pchniętego, który już sam się sunie choć go konie nie ciągną. My dopiero właściwie dźwigamy się pod górę; wolno mozolnie, czasem przystawamy, ale wóz naszego społecznego dobra podpieramy sami jak możemy. Jest to wielki postęp, na zdobycie go straciliśmy miljardy i niechże więc tak drogocenny nabytek pielęgnowany będzie z przynależną mu starannością, niech się na wiek wieków ugruntuje przekonanie, że chcąc nawet choćby poziomkę zdjąć z krzaczka lub jabłko zerwać z drzewa, trzeba się schylić, zgiąć dobrze hardego karku lub wspiąć się i wyciągnąć rękę z wysiłkiem. Pieczone gołąbki tylko niegdyś same sfruwały do gąbki, dziś do niéj nic nie wpadnie bez trudu i mozołu, tylko garść kurzu ulicznego, jeśli nie ma chustki do ust zasłonienia.

Dźwigamy się więc i mądrzejemy; przestaliśmy tłumami zapełniać sale koncertowe i oto ceny wejścia obniżone zostały: zmniejszyliśmy ciekawość do oglądania ciężkich, olbrzymich i karlich dziwów, przedsiębiercy zaraz krzyknęli na gwałt, że już ostatni tydzień zaszczycać będą Warszawę swoją obecnością. Skarżyliśmy się na drogość książek wydawanych, mnożą się też coraz tańsze wydawnictwa, a nawet zawiązuje się podobno jakaś współka, aby to obniżenie cen, we wszystkich innych wydawnictwach i w przyszłości utrzymać: podniósł się także głos o obniżenie ceny wejścia na Wystawę obrazów, bo w dnie świąteczne nie jednego odstraszały natłok osób zgromadzonych, a w dnie powszednie złotówka, co razem w połączeniu tak pomału oddziałało, że dziś za dziesiątkę mało kto chodzi, a nikt prawie za złotówkę. Obniżenie zatem ceny wejścia do dziesięciu groszy przez cały tydzień z wyłączeniem np; poniedziałku i czwartku, byłoby zdaje mi się bardzo praktyczne. Dnie bowiem świąteczne pozostałyby tem czem są powszednie. przestałyby świecić pustkami, a dwa dni pozostałoby dla członków i pragnących w mniejszem zgromadzeniu przyjrzeć się pracom miejscowego artyzmu. Oznaczenie ceny na pół złotka, jak to zaprojektowano przez wszystkie dnie tygodnia, zdaje mi się, że byłoby bardzo szkodliwe. W zmaganiu się drożyzny, chleba, mięsa i buta nie wyrzekniemy się bo nie możemy, chętkę zaś obejrzenia Wystawy przytłumimy z pewnością, bo możemy. Z krytyką tylko jakoś nie możemy przyjść do ładu która według zwyczaju jak szastała tak szasta na prawo na lewo bez względu, że może tu ubliżyć a tam zaszkodzić. Pan Kostrzewski zanadto lubionym i zdatnym jest artystą, aby nie przenosił prawdy choć ostrej nad pochlebstwo, a nie zasłużone. Ostatnie jego dwa szkice w Kłosach zamieszczone, przedstawiające młodzieńca przyspasabiającego się dopiero na nauczyciela, i później ubogiego pieszo z psem i tłomoczkiem na plecach wędrującego od miejsca do miejsca za kawałkiem chleba i dachu, jakkolwiek ładnie są wykonane, ale to typ obcy nam, czysto niemiecki jak to zdradza nawet rysunek i myśl mu przewodnicząca. U nas nie ma takich biednych pedagogów, może zjawią się kiedyś. ale dopiero wtenczas gdy w każdéj wiosce będzie szkółka, a w każdym domku choćby najbiedniejszym uczeń lub uczennica jak to właśnie jest w Niemczech. Mimo tego Kurjer Warszawski podniósł tę pracę i pochwaliwszy bezwarunkowo, ani słówka nie bąknął o tem co jest rzeczywiście rażącem, co może p. Kostrzewskiego ze swego pola przerzucić na obce, z wielką szkodą i jego samego i artyzmu.

W ostatnim numerze Przeglądu tygodniowego, autor artykułu p. t. Kuchnie tanie, robi zarzut, że służą one tylko ludziom od waszecia, ale nigdy robotnikom i biedocie. Oczywiście autor nie widział nigdy publiczności tam uczęszczającej: bywa tam co prawda młodzież ucząca się, osoby zbiedzone różnemi wypadkami losu, ale bywa także mnóstwo rzemieślników, robotników i bardzo wielu ubożuchnych ludzi, dla których nawet okruszek chleba ma swoje znaczenie. Co do ceny 22 groszy jakoby za wysokiej to ta żadnym sposobem za dwie obficie dane potrawy, za kawał mięsa i grubą sztukę chleba pytlowego nie może być niższą. Że tak uznają i bywający w kuchni taniej, dowód w tem najlepszy, że z niektórych warsztatów cała młodzież rzemieślnicza dopiero ucząca się, obowiązkowo żywiona przez majstrów, posyłaną bywa zbiorowo po kilkanaście osób na objady do kuchni taniéj. Jeżeli zaś w zimie mniéj wychodzi objadów jak w lecie, to tylko dla tego, że ogień gotujący objad w domu grzeje zarazem całe mieszkanie, bez czego konieczność opalania, na nowy narażałaby wydatek.

Co do dyżurów pań i mężczyzn i tych obowiązki są wiadome zupełnie obce autorowi. Potrzebne one są nie dla kontrolowania gospodyni, bo tego dopełnia Dyrektor i Dyrektorka, stale pełniący swe obowiązki, ale głównie dla kontroli wydawanych objadów, które panie własną ręką podają, odbierają za nie bilety, i po obrachowaniu wpisują ich liczbę do książki umyślnie na ten cel utrzymywanej. Mają przytem obowiązek pokosztowania przygotowanych na objad potraw, dyżury więc dam są konieczne i bardzo użyteczne, tak dalece, że gdy zaniedbane zostały, myślano już zastąpić je urządzeniem płatnéj usługi. Panowie zaś dyżurni zajmują się przedażą biletów, dawaniem w sali bazaru na szybkość obsługi i przyjmowaniem zapisów na abonamenta. Deficyt zaś jeżeli się obecnie pokazuje w kasie kuchni taniéj, to nie wynika ze złéj administracji, jak to autor utrzymuje, tylko z podniesienia się cen artykułów żywności, jak to wykazał bardzo zasadnie pan Makowiecki. Dawniéj bowiem były zyski, gdy jednak mąka, kasza, kartofle, mięso, masło, słonina, zdrożały w przecięciu o 50 procent, to przy cenie za objad podniesionéj tylko o dziesięć procent musiały się pokazać straty.

Dla czego przy tak powierzchownéj znajomości instytucji tyle pożytecznéj, i z tak wielkiem poświęceniem przez zarządzających rozwijanéj, podnoszą się zarzuty niczem nieuzasadnione, trudno odgadnąć. Czyżby to miało wypływać z przekonania, że nigdzie nie może być dobrze gdzie nas nie ma?

Przytym dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Po przyrzeczeniu i po długich dnia tego rozmowach. August pojechał, obiecał pisać, ale nie obiecywał powrócić dopóki ojca nie skłoni do zgody..

Upłynęło kilka tygodni, list był tylko jeden, i smutny ojciec chodził posępny, jam płakała. Pod jakim pozorem wyjechał na dni kilka ojciec, nic mi o tem nie mówił, nie było go z tydzień może a wrócił smutny i chory. Listy od Augusta przychodziły gorące, serdeczne, ale odraczające ciągle dobrą tę wieść na którą czekałam. Dowiedziałam się znacznie dopiero później, jaką walkę mój August stoczyć musiał z ojcem, z matką, z siostrą i dalszemi krewnemi. Wytrwał wszakże i po kilku miesiącach złamany jego pełnem poszanowania, ale energicznem postępowaniem pan Radca przybył sam z uroczystą prośbą o moją rękę. Nie tych dni moja Marjo, opisywać ci nie będę. Cierpiałam dla Augusta z ochotą, lecz to com wycierpiała przeszło oczekiwania i obawy. Ludzie ci mścili się na mnie za syna. Miałam kielich żółci do wypicia przy ołtarzu. pocieszałam się tem tylko że przecież ciągle z niemi nie będziemy, że dozwolą nam żyć samym z sobą. Wedle układów z moim ojcem majątek nasz przechodził cały na imię Radcy, syn miał go trzymać tylko dzierżawą; ja ponieważ nie miałam nic, oprócz ruchomości i wyprawy, nie otrzymałam też żadnego zapewnienia na majątku. O to anim się starała.

Ojciec miał przy nas pozostać. Owe dni świetnego wesela i zjazdu familji dokuczliwéj, nieznośnéj, bezdusznéj, przeszły nareszcie i zostaliśmy sami.

Odetchnęłam swobodniéj całą piersią, lecz w parę dni zaledwie ojciec mój złamany tem co doświadczył, czego nie mógł nie uczuć, zgryziony zachorował niebezpiecznie. Choroba przeciągnęła się kilka tygodni, nie było na nią ratunku. Straciłam go. Zostaliśmy sami z Augustem. Dodać tu muszę że rodzina mojego ojca a najbliższa, usunęła się zupełnie od nas, naprzód z obawy abyśmy od niéj nie potrzebowali pomocy, potem nie rada połączeniu z dorobkowiczem, którego imię nie najlepszéj używało sławy. Lecz miałże syn odpowiadać za ojca grzechy?

Następny rok był najnieszczęśliwszy w mem życiu. Nieomyliłam się na Auguście, na jego sercu, na przywiązaniu do mnie. Starał mi się teraz oszczędzić nawet cienia przykrości. Wymógł jakoś na ojcu pozwolenie odbycia podróży, pojechaliśmy do Włoch. Ah były to chwile szczęśliwe! a trwały tak krótko tak krótko jak błyskawica! August począł kaszleć objawiła się nagle choroba piersiowa, a w pół roku stała się groźną. Bóg mi dał córkę w chwili gdy niewysłowiona trwoga napełniała już serce o życie najdroższego męża. Nie mogłam i niechciałam uwierzyć niebezpieczeństwu, zdawało mi się, że Bóg, że los mój winien mi trochę jaśniejszych dni na téj ziemi. Najstraszniejsza rzeczywistość. zmuszała do szukania ratunku. z chorym Augustem, z małą dzieciną wyjechaliśmy do Hyères. Na chwilę powietrze i klimat polepszyły stan mego drogiego, lecz pociecha była krótką. On sam czuł się ciągle lepiéj, łudził się, uśmiechał, miał nadzieję... i z tą nadzieją, z uśmiechem na ustach. zasnął. Zostałam sama gorzéj niż sierotą, bo na łasce rodziny, na któréj litość, wyrozumiałość, ludzkość bynajmniéj rachować nie mogłam. Radca napisał do mnie list prawie grubijański nakazując mi powracać natychmiast. Dowiedziałam się z niego że mnie mojemu obejściu z Augustem przypisywano zgon jego.

Tuląc do piersi sierotę, znękana, pół żywa powróciłam do domu, który nie był już moim. Pierwszym ciosem bolesnym był rozkaz przeniesienia się do innego majątku, małego folwarczku z domem wilgotnym i niewygodnym, gdzie mi naznaczono mieszkanie.

Obawa o dziecię, w którego piersiach lękałam się już spadkowego zarodu choroby, sprawiła żem się oparła. wyjechałam do miasta. Radca sam pojechał za mną, aby w sposób jak najnielitościwszy, grubijański zapowiedzieć mi, iż na moje fantazje i wymysły dostarczać nie myśli. Wyrzucał mi na oczy ubóstwo, śmierć syna, naśmiewał się marnotrawstwa mojego ojca. słowem zrobił mi przy kołysce sieroty siedzącéj w żałobie, spłakanéj, pół żywéj taką scenę, iż w końcu oburzona, rozgniewana powiedziałam, że nic od niego i od nich nie chcę, ale też proszę by ze mną wszelkie zerwali stosunki. Powinnam była wytrwać dla córki się poświęcając, lecz w tej chwili opuściła mnie pamięć, przytomność, rozum. Człowiek ten naigrawał się z ojca mego. obrażał mnie najdotkliwiéj, traktował mnie jak najniegodniejszą z kobiet. Musiałam mu drzwi pokazać. Osłupiał zrazu, zaśmiał się dziko i wyszedł. Uczułam błąd mój i wezwałam natychmiast prawnika, przyjaciela ojca mojego na radę. Położenie moje stało się nader przykrem. Niechciałam nic od nich. pragnęłam odzyskać to tylko co mi prawnie pozostało w ruchomościach po ojcu. powiedziałam sobie, że pracować będę, muszę i że pracą tą wyżywię siebie, córkę i wychowam ją na kobietę zbrojną przeciwko losom, któraby w każdym razie sierota sama jedna mogła drogę sobie w świecie utorować bezpieczną. Po długich trudnościach i walkach, bo Radca obawiając się opinji, chciał mnie zmusić do jakiéjś ugody, odzyskałam część moją w ruchomościach dosyć kosztownych pozornie, których przedaż wszakże mogła mi zaledwie dać narzędzie do pracy. Z sumki téj żyć nie było podobna, bo by się w przeciągu dwóch lat wyczerpała. przy największéj oszczędności procent nie starczył nawet na skromne mieszkanie. Nie wiedziałam co poczne. Tysiączne projekta przechodziły mi przez głowę. lecz każdy z nich w wykonaniu okazywał się niemożliwym. Zdala zdaje się tak prostem i łatwem zarobić pracą na życie, gdy się ma wolę silną! lecz cóż to za zadanie, gdy przyjdzie myśl w czyn zamienić! Pracy téj szukać potrzeba, należy mieć do niéj nietylko wolę i wytrwałość, ale jeszcze zręczność zastosowania, uzdolnienie. Wychowanie nasze świetne pospolicie, daje nam wszystko czego wymaga salon nic z tego co potrzebuje życie surowe. Umiałam muzykę, ale wobec prawdziwych muzyków okazywało się, żem tylko trochę *grać* umiała. toż samo było z innemi przedmiotami, których potrzebowałabym się była uczyć wprzódy sama, niżelibym je innym mogła wykładać. Nie mając z resztą stosunków, nie mogłam znaleść dla sebie umieszczenia. Oprócz tego karmiłam sama dziecię, które nieustannego potrzebowało dozoru, bo było wątłe i delikatne. Służąca osobna do Elwirki nadtoby mnie kosztowała, czyż zresztą ukochane dziecię na płatne sługi ręce powierzyć można? Rozpacz mnie ogarniała.

Lecz w życiu ludzkiem, gdy komu przeznaczonym jest przez Opatrzność ratunek, przychodzi najczęściéj niespodziany. przez ręce od których go się nie wygląda, w chwili gdy wszelka nadzieja stracona. Stało się tak ze mną.. Stara sługa mojéj matki, która mnie nosiła na rękach, a teraz wyszedłszy za mąż mieszkała w Berlinie, któréj mąż był portjerem hotelu, wypadkiem spotkała się ze mną na ulicy, gdym sama szła po lepsze mleko dla dziecka, bo mi pokarmu braknąć zaczynało i ten przy zmartwieniu i łzach. widocznie szkodził Elwirce. Ja o niéj. ona nie wiedziała o mnie, ani nawet o ostatniem nieszczęściu, przeraziła się, rozpłakała dowiadując o wszystkiem..

Poczciwa kobieta poszła ze mną i do mnie, przesiedziałyśmy cały dzień z sobą.. Chciała mi coś poradzić, w czemś dopomódz. nie umiała. Poszła z mężem naradzić się, wróciła nazajutrz, przyniosła projektów mnóstwo.. Niestety! wszystkie one były dla mnie niedostępne. Lecz największem dobrodziejstwem było to, żem choć serce litościwe choć przyjaciółkę znalazła. Nie byłam samą.

Jednego ranka siedziałyśmy tak u kolebki śpiącéj dzieciny.. Staréj mojéj Anusi nieustannie coś przychodziło do głowy co mnie wyratować było powinno.. Tego dnia odezwała się wreszcie widzi pani. w takim dopuście bożym żadnéj poczciwéj pracy wstydzić się nie ma czego.

— Ja też się nie powstydzę pracować, ale z czemże, z igłą?

— Ale, gdzie tam. odparła Anna — najlepsza szwaczka to nie zarobi więcéj na żaden sposób. nad dwa złote na dzień. Roboty dla domów nie znajdzie, a kupcy tanio płacą, bo na biednym człowieku najwięcéj zarabiają ale ja mam myśl dodała — bardzo dobrą myśl i taką, że byłby z niéj pożytek, tylko (nazywała mnie po staremu) Zuzia się na to nie zgodzi bo Zuzia córka obywatelska..

Po najuroczystszych zapewnieniach, że się ani obrażę ani sprzeciwiać nie będę wyznała mi Anna, iż z porady męża i znajomych chciała mnie namówić na założenie magazynu mód i ubiorów. Zaręczała, że nawet ryzykując kapitalik mój, mogłam być pewną iż by się to sowicie opłaciło — proszę pani dodała — cóżby już lepiéj pani mogła i umiała nad to? Nawykłyście się stroić, ubierać, macie gust, znacie się na tych rzeczach. toć przecie lepiéj to potraficie jak jaka *madam'a* francuzka. Zresztą ja powiem Zuzi, na to nie potrzeba wiele, ja mówiłam z mężem. niech pani da połowę, my dostarczym pół kapitału. a jeśli się pani wstydzi, niech magazyn będzie pod firmą moją.

W chwili gdy pani Domska tych wyrazów domawiała, Jaworkowska, która słuchała z niezmiernem zajęciem, załamała ręce tragicznie. Jakto? zawoła-

ła — ona śmiała ci uczynić taką propozycję, magazyn mód założyć.. i ty!

— Co gorzéj, moja Marjo, żem ja tę propozycję przyjęła.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, chora zwróciła się twarzą całą do dawnéj przyjaciołki. Znać ten dramat dni powszednich, zaczynał ją coraz więcéj zajmować, ale zarazem rozwiązanie tak prozaiczne, a tak dla *obywatelskiéj* córki ciężkie i upokarzające, obudzało w niéj uczucie które w rysach Marji odmalowało się jakby odcieniem chłodu i obawy. Domska spuściła oczy, spodziewała się więc i lękała, że przyjaciołkę przyznaniem się do winy ostudzi dla siebie, a jednak raz rozpocząwszy opowiadanie, po krótkiéj chwili namysłu ciągnęła je daléj:

— Przyjęłaś —i — i co? zawołała Jaworkowska, wlepiając w nią oczy przestraszone.

— Posłuchaj już cierpliwie do końca.. potrzeba było żyć, mnie i dziecku, od tych ludzi, którzy dla mnie serca nie mieli nic przyjąć nie mogłam, praca więc tylko mi zostawała, a z prac ta jedna, ta smutna, jeśli chcesz, modystki. Wspomnienie ojca, rodziny, dostatków, dziecinnych marzeń, pozycji społecznéj, ustąpiło miłości dla mojéj Elwirki, uczuciu obrażonéj dumy. Chciałam tym ludziom pokazać, że jakkolwiek słaba, uboga, opuszczona, potrafię o własnych siłach wyjść z upadku, którego byli przyczyną. Uściskałam Annę. Dobrze — odpowiedziałam, myśl złota, chwytam ją, ofiary twojego męża ani twojéj nie przyjmuję, bo by mnie ona paraliżowała, rodząc obawę, żeby wasz ubogi grosz w moich rękach nie przepadł. Pomóżcie mi tylko do najęcia sklepu i mieszkania, ułatwijcie otwarcie handlu, może znacie jaką uczciwą pomocnicę, któraby mi w pierwszych chwilach dać mogła jakie skazówki, bom niedoświadczona! Co się tyczy firmy, położę moją, choćby dla tego, ażeby dokuczyć panu Radcy tem, że jego ozłocone imię będzie świecić na szyldzie modniarki.

— Moja paniunciu — całując mnie po rękach, zawołała Anna, jak tylko się zgadzacie, wszystko się znajdzie; mam Niemkę, starą pannę, która prowadziła lat dwadzieścia dom podobny. Jest właśnie bez zajęcia, a sama nic założyć nie może. Miejsce na magazyn wie mój mąż, na rogu ulicy, która pod Lipy wychodzi, reszta się znajdzie.

Przez następne dni trwały gorączkowe przygotowania, przyszła panna Liza do mnie, poczęłyśmy rachować, rachować, i okazało się, że mi na pierwsze zakładziny starczyło. Wprawdzie musiałam wszystko ważyć, bo wydatki były ogromne, począwszy od szaf, od zwierciadeł, od mebli, aż do kosztownego materjału, w który magazyn opatrzonym być musiał. Trochę mebli musiałam nająć, wiele rzeczy na zaręczenie Lizy dostałam na kredyt, przyjęłam dwie robotnice, i jednego dnia ukazały się ogłoszenia w dziennikach, plakaty na murach, szyld skromny ale piękny, czarny ze złotem, między oknami pierwszego piętra. Musiałam bowiem zająć piętro, i przystroić je z jak największą wytwornością i smakiem. Chcąc pozyskać zamożną i dobrego tonu klientelę, trzeba się było stosownie do jéj wymagań urządzić; przestrach mnie ogarniał czasem, patrząc na te przygotowania zbytkowne, na lokaja w liberji, którego wziąść było potrzeba, na salony i gabinety poprzystrajane po pańsku! Serce się ściskało, bom wszystko stawiła na jedną kartę, alem ufała, jeśli nie własnéj, gwiaździe niewinnego dzięcięcia, dla któregom pracowała, i mojéj gorliwéj pracy.

Pierwszych dni ledwie się ktoś ukazał, było pusto, jam drżała, zwolna jednak z rekomendacji męża Anny, który miał zręczność jako portjer polecać mnie przybywającym do hotelu, przez stosunki Lizy mojéj, zaczęli płynąć goście i zamówienia. Razem z niemi wpadł jednego dnia czerwono-siny z gniewu pan Radca i z furją żądał rozmówienia się na osobności. Próżność jego była dotkniętą niesłychanie wywieszeniem nazwiska, drżał, prosząc mnie o rozmowę. Z dosyć zimną krwią przeszłam z nim do drugiego pokoju, alem nie usiadła nawet, dając do zrozumienia, iż dłuvéj nie życzę sobie rozmowy.

— Waćpani, zawołał, chcesz mnie widzę zmusić do okupu, waćpani chcesz familję moją shańbić i wydać na pośmiewisko. Żona mojego syna, człowieka miljonowego — modniarką!

— Wolę być wyrobnicą, niż niewolnicą! odpowiedziałam, między nami, panie radco, interesa są skończone, do nazwiska mam prawo, nikt mi go odebrać nie może, a jeśli dla siebie i dziecięcia nie wstydzę się go wywiesić, dla czegóż bym próżność państwa oszczędzać miała?

— Mościa pani — krzyknął radca — ja to rozumiem! ja wiem wszystko — mów pani warunki?

— Jakie warunki? do czego? zapytałam.

— Pani mnie zrozumiesz! ja się wykupię z tej sromoty, rzekł bijąc nogą w podłogę — mów pani ile wymagasz?

— Nic nie wymagam od pana i nie chcę mieć z nim nic wspólnego — to jedyny warunek mój. Jestem kobietą, jestem sierotą, jestem biedną, lecz com raz wyrzekła, tego dotrzymam. Nie chcę nic od was, jesteśmy sobie obcy, bądź pan zdrów!

— Tak pozostać nie może, zawołał radca, chodząc żywo po pokoju — ja na ten skandal dozwolić nie mogę, użyję wszelkich sprężyn, wszelkich środków, mam wpływy, stosunki, nie pożałuję pieniędzy, ale tę nienawistną tablicę, na któréj waćpani wywiesiłaś moje nazwisko, zrzucę, obalę, zniszczę.

Im bardziéj się on gniewał, tem mnie szczęściem przybywało jakiejś niepojętéj krwi zimnéj. Ukłoniłam mu się i chciałam odejść.

— Waćpani jesteś matką mego wnuka.

— Wnuczki, rzekłam, i bądź co bądź prawo ją przy matce zostawia, a ja ręczę, że ani ja, ani ona nic od was nie będziemy potrzebowały.

— Tak! ja ją sam wydziedziczę, unosząc się krzyknął Radca — ja, ja wydziedziczę.

— Ona się sama wydziedziczyła ustami matki—odpowiedziałam.—Żegnam pana. Radca chciał jeszcze sprobować.

— Ostatnie słowo — zawołał — daję pięć tysięcy talarów rocznie i zupełną swobodę — mieszkaj pani gdzie chcesz, rób co chcesz, ale dziś jeszcze precz mi z tym szyldem..

— Panie radco, odpowiedziałam — żyłeś pan, urodziłeś się i znasz tylko ten świat, który wszystko czyni dla pieniędzy i za pieniądze, gdzie każdego kupić można, ja do tego koła nie należałam, nie rozumiem go i sprzedać się za pięć tysięcy talarów rocznie nie myślę.

— Sześć! siedem! dziesięć! krzyknął Radca i zamilkł nagle, ruszyłam ramionami i odeszłam. Dziwna rzecz, mówiłam z odwagą, napozór prawie bez wzruszenia—a łzy stawały mi w oczach i serce biło, sama dziwiłam się sobie, wyrzucałam prawie, że krzywdzę dziecię, a nie mogłam, nie umiałam postąpić inaczéj. Radca przyskoczył ku mnie z zaciśniętemi pięściami. Co pani myślisz sobie—rzekł stłumionym głosem, w którym gniew kipiał okrutny, — że ja nie potrafię innemi środkami jéj zmusić. Jam tu wszechmogący, ja mam wpływy, ja...

— Czyń pan co chcesz, ja zrobię com powinna.

Szczęściem żem się w téj chwili mogła oprzeć o konsolę, gdyż mi się słabo zrobiło.. nie widziałam już jak wychodził Radca, słyszałam tylko stukanie drzwiami i odgłos jego chodu na schodach., w oczach mi się ćmiło, ale Liza nadbiegła, domyślając się czegoś, z wodą kolońską i posadziwszy na kanapie, otrzeźwiła. Rozpłakałam się, rozchorowałam trochę, przeszło to przecie. Nie miałam w istocie czasu nawet na stękanie i rozmyślania — popędliwość Radcy, plotki ludzi, rozszerzyły po mieście historję jego synowéj. Radca był znanym na giełdzie, nawet na dworze i w ogóle w różnych sferach towarzyskich, wieść o tem, jak sobie z nim postąpiłam, zwróciła na mnie ciekawość i uwagę. Wszystkie panie chciały widzieć synowę pana Radcy, tak odważną, iż została modniarką. Karety, kocze, dorożki, płynęły po całych dniach, klientki moje brały mnie na egzamen, wypytywały, zasiadały w salonie, unosiły się nad smakiem z jakim był urządzony, dzięki Radcy weszłam odrazu w modę tak prędko, iż w drugim tygodniu musiałam potroić liczbę robotnic, rozszerzyć pracownię, dać Lizie, która kierowała wszystkiem, pomocnicę, a sama nie miałam chwili spoczynku. Oprócz ciekawości, która zapewne przyczyniła się wiele do zjednania mi w początkach klienteli, zapracowałam na nią gustem jakim może natura, wychowanie, świat, w którym żyłam, obdarzyły. Ten smak, Maryniu moja, dodała Domska — zagadką jest, mają go jedni, zbywa na nim całkiem drugim, w ogóle najpraktyczniejsze w świecie narody nie poszczycą się najwytworniejszym smakiem, płoche i lekkomyślne zachowują gust, nawet gdy go już nie mają czem zaspokoić. Francuzi nie wiele się uczą, umieją w ogóle mało, ale wrodzony instynkt wskazuje im piękno. Najuboższa dziewczyna paryzka ubiera się lada chusteczką tak malowniczo i wdzięcznie, jak najdroższemi przyborami niemiecka pani nie potrafi. Jednakże gust się nabywa i oceniają go wysoko ci, co go sami prawie są pozbawieni. Mój magazyn odznaczał się wielką prostotą i wytwornym smakiem, pierwsze wyroby, na których śmiało położyłam piętno méj własnéj fantazji, nawet trochę wbrew Lizie, powszechnie się podobały. Nie potrzebowałam już polecenia, miałam robót i zamówień tak wiele, że obudzałam zazdrość, żem posługiwała się już innemi pomniejszemi domami, zostawiając sobie tylko kierownictwo. Z tego względu szło mi bardzo szczęśliwie, alem też miała wiele do przecierpienia. Byłam młodą naówczas, przystojną i wolną. Radca który nic mi uczynić nie mógł, bo wprędce i ja miałam stosunki mogące mi dostarczyć środków obrony, ażeby siebie i swe postępowanie wytłomaczyć, użył najniegodziwszéj broni — potwarzy. Osławił mnie jako kobietę najpłochszych obyczajów, zalotnicę której rodzina wyprzeć się musiała. Nie miałam innéj obrony nad postępowanie moje, ludzie widzieli życie, musiałam cierpieć, czekać i zwyciężyłam. Ale ci nie będę opisywać ile musiałam przetrwania, i jakie spotkały mnie sceny, spotkania, prześladowania, zasadzki. Niech Bóg policzy je mnie za zasługę, a ludziom ich sprawcom, nie pamięta.

Wiedząc, że jestem celem potwarzy i plotek, życie całe zastosowałam do tego, ażeby nie dać najmniejszego pozoru, cienia nawet do posądzenia o płochość. Nie kosztowało mnie to, kochałam dziecię, a świat był dla mnie zamknięty. Praca pomagała mi wielce, na téj mi nie zbywało. Gdy nie było nikogo, mu-

siałam z Lizą dozorować wykonania robót, około południa zwykle gości bywało już pełno, a zmieniali się tylko do wieczora, tak, że ledwie miałam czas pobiedz do dziecka i kołyski. Wieczorem dopiero mogłam swobodniéj odetchnąć, spocząć, zagrać, pomyśléć, wrócić wspomnieniami do młodości mojéj. Nie oddalałam się nigdzie, wyrzekłam się nawet teatru, który dosyć lubiłam. Czasem wywiozłam dziecię na przejażdżkę za miasto, do ogrodu gdzieś, to była cała moja przyjemność.

Pani Jaworkowska przerwała w téj chwili pani Domskiéj. — I długoż to trwało? — zapytała. — ten okropny twój czyściec?

Domska się uśmiechnęła.

— Ale on trwa do dziś dnia, moja Maryniu, — rzekła — miałam czas wychować Elwirę i sama zestarzeć. mam dom własny, mam znaczny kapitał, zostałam bogatą, jeśli człowiek się kiedy nazwać może bogatym, boć to wszystko chwila mu odbiera i ślepy los...

— I nie rzucasz tego nieszczęśliwego rzemiosła, — odezwała się Jaworkowska.

— Dotąd jeszczem tego nie uczyniła. — mówiła pani Zuzanna. — Naprzód nawykłam do tego życia, nie jest mi źle, powtóre co roku coś dokładam dla Elwiry, któréj Bóg dał tyle, ile by jéj nie mógł dać pan Radca.

— A cóż się stało z Radcą?

— W kilka lat potem.. umarł. Nie mógł mi nic uczynić wprawdzie, bom mu się obronić potrafiła, lecz Elwirkę wydziedziczył i córce swéj zapisał wszystko. Siostra Augusta, aby mi dokuczyć, przyjeżdżała kilka razy do magazynu, rachując na to, że się ze mną spotka i choć słowem mnie ukole.. uszłam szczęśliwie zetknięcia z nią, grymasiła z Lizą. Wreszcie zapomnieli ludzie, przytępiły się namiętne niechęci, pamięć srogich gniewów zatarła się, dali mi pokój.

— Jednakże, proszę cię — nieśmiało wtrąciła Jaworkowska, bawiąc się węzełkiem od chustki — musisz myśleć o losie Elwiry.. Co jéj z tego choćby była bogatą, jeśli szczęścia nie zapewnisz?

— Szczęścia! — uśmiechnęła się Domska. — Masz słuszność, trzeba choć dla dziecięcia wierzyć w szczęście i o nie się starać. Spotykasz mnie właśnie w téj stanowczéj chwili życia, w któréj rozmyślam, co począć z sobą. Jestem już stara i słaba. W tym świecie, w którym żyjemy, Elwirze nikt się trafić nie może, prócz cudzoziemca.. a tych się ja boję.. Trzeba więc będzie rozstać się z magazynem, odpocząć i nowe zawiązać stosunki. Myślałam o tem, rozmyślam.. Pomożeż to co, gdy za nami wszędzie i zawsze pójdzie piętnujące nas nazwisko — modystka i córka modystki. A to ta, powiedzą, któréj matka miała magazyn w Berlinie. Elwira może czekać, może wybierać, a ja drżę nad przyszłością. Widzisz, że i tu całkiem się usuwam od towarzystwa, choć mnie nie znają, bo ani chcę przyznać się do mojéj profesji, ani bym umiała skłamać, ani bym Elwirze chciała zatrzeć tych kilku chwil swobody..

Zamilkły. Pani Jaworkowska była widocznie temi wyznaniami dawnéj przyjaciółki zmieszaną, zakłopotaną, lecz i zaciekawioną zarazem. Godzina była dość spóźniona, a rozstać się z nią, jeszcze się wahała, tyle rzeczy od niéj pragnęła się dowiedzieć.

— Jakżeś wychowała Elwirę? — spytała...

— Jak ukochaną jedynaczkę, jak pieszczone dziecię, jak skarb mój cały — składając ręce zawołała Domska. — Widziałaś ją tylko zdaleka, nie znasz jéj jeszcze.. Powiem ci, jak wszystkie podobno zwykły mówić matki. Nie dla tego, że to moja córka, ale to dziecię niepospolite, to natura wybrana.. Wychowała się bez rówiennic, bez rodziny, zawsze ze mną, przy mnie zawsze, na wykształcenie jéj serca i umysłu wytężyłam wszystkie siły i kwiatek ten śliczny rozwijał mi się w oczach, płacąc barwami i wonią za całe życie samotności i tęsknoty. Powierzchowność ma piękną.

— A, śliczna, śliczna, — dodała Jaworkowska, — żeby mi moja tak wypiękniała!

— Czem jednak to przy jéj duszyczce, i główce — dorzuciła matka. — Maluje, gra, czyta, a oprócz tego żadna kobieca praca nie jest jéj obcą. Tak z niéj doskonała kucharka, choć nigdy nie gotuje, jakiéj drugiéj nie znajdziesz, masz w niéj krawca, masz gosposię, a oprócz tego artystkę. I nie sądź, żebym ją sztuki uczyła dla popisu, smutna to rzecz. Sztuka jest narzędziem do pozyskania łatwego i niewinnego szczęścia. Uposażyć nią dziecię, jest mu dać zapas wrażeń, pożywienie na życie całe. Sztuka otwiera światy nowe, rozszerza widnokrąg, uczy świata, a gdy Bóg dał choć odrobinę tego, co my zowiemy twórczą siłą, cóż to za zachwyty, gdy myśl potrafi rzucić na płótno lub wyśpiewać tonami.

Jaworkowska spojrzała na przyjaciółkę i uśmiechnęła się, ale znać było, że niewiele tego zrozumiała i niebardzo wierzyła.. Chrapliwy zegar na dole wykukał godzinę drugą.

— A, na miłość Bożą! druga godzina, moja Zuziu, idź że ty spać, ja ciebie zamęczę.. idź spocznij.. Jutro, pojutrze będziemy szeroko rozprawiały o tem..

— Tylko, — całując ją, rzekła cicho Domska — to, co powierzyłam tobie, zostaje między nami, mnie tu nikt nie zna.. ty masz pewnie znajomych, jeśli cię spytają o nas — powiedz... dawna moja towarzyszka.. mieszka w Berlinie. Nic więcéj. Idzie mi o Elwirę.. Powiem ci jutro, co się nam trafiło w drodze.

Ponieważ ranek był jakoś wilgotny, a pani Marja obawiała się fluksji i posądzała o reumatyzm, nie wyszła więc rychło. Domska powróciła od źródła i ze mszy, gdy przyjaciółka jéj dopiero się wyjrzeć na świat odważyła. Była też po wieczornych owych wyznaniach bardzo jakoś posępna i zadumana. Wprawdzie kochały się serdecznie z tą Zuzią, i ta Zuzia teraz miała kamienicę, a sama przyznawała się do tego, iż była bogatą, ale, ale, choć by na najwyższéj stopie, koniec końcem była *marchande de modes!* Nikt o tem w Krynicy jeszcze nie wiedział, a poznać po niéj, że krajała i przymierzała suknie i kapelusze, nie było podobna, tak wyglądała poważnie, tak była ustrojona dostatnio i smakownie, lecz nużby się dowiedziano, i pan Jaworkowski szlachcic z antenatów, który wprawdzie wódkę, zboże i las sprzedawał, przecież handlarzem nie był, zasłyszał, iż jego żona, w zażyłości była i stosunkach z jakąś modystką. Jakkolwiek bardzo dla niéj powolny, miałby jéj niezawodnie za złe.. Z drugiéj strony Domska była urodzoną wysoce *hoch wohl geboren* po ojcu, po matce, po całym szeregu dziadów i pradziadów. Unikać jéj nie podobnem się zdawało — ściśléj wiązać niebezpiecznie.

Mimo najlepszego serca, mimo resztek przyjaźni dla Zuzi, biedna Marja wolałaby była nie mieć tego kłopotu. Niewiedziała jak z tego wybrnąć. Idąc do źródła, choć słyszała głosy tych pań w pokoju, około którego drzwi musiała przechodzić, minęła je nie wstępując, nie powiadając dzień dobry. Wpadła nawet na pomysł szczególny, iż znaleść by się mógł powód jakiś do przeniesienia się do Żegestowa lub Szczawnicy. Wody wszystkie były podobne, a tu taka znajomość...

— Bo, gdyby już była, czem by sobie chciała, — mówiła w duchu przyjaciółka — ale modystką. Zawsze wyszła już z naszéj sfery, nie należy do towarzystwa, a kto raz z niego wyjdzie, nie powraca...

Mocno zakłopotana posunęła się tak aż do altany, dzieci pobiegły przodem i ogromny ich okrzyk oznajmił, że kogoś już znajomego spotkały. Była to hr. Palczewska, któréj towarzyszył nieodstępny Grejfer, panna Salomea i pan Karol Surwiński. Dwie panie znały się bardzo zblizka, chociaż fluksja pani Jaworkowskiéj nudziła hrabinę, a wieczne trzpiotanie się jéj niecierpliwiło panią Marję.

— I ty tutaj! — zawołała Palczewska ściskając ją. — Proszę cię, co to może *force majeuse!* Gdzieżby to kiedy nas dwie się mogło spotkać u takich wód, gdzie trzeba po jednéj uliczce, chodzić razem z żydami Brodzkiemi. Jak że ty się masz, moja droga.

— A, nic mi nie lepiéj! — westchnęła chora.

— Gdzie stoisz?

— Pod Różą.

— Więc w sąsiedztwie z tą tajemniczą panią Domską, któréj stroje obudzają tu admiracją mężczyzn, a zazdrość nas niewiast.

Jaworkowska zaczerwieniła się niezmiernie, myślała czy co powiedzieć, czy zmilczeć, czy niedosłyszeć. Niedosłyszała wreszcie.

— O Domskich wiem już, — rzekł pan Karol — wiem. Rodzina bardzo majętna.. Ojciec pana Augusta, którego znali tu niektórzy starsi i ja spotykałem, był radcą handlowym, sprzedawał i kupował dobra, robił interesa na bursie. Tylko nie wiem, czy to ci sami Domscy czy inni. August był żonaty z córką bardzo powszechnie szanowanego człowieka, dobrego rodu, ale nieszczęśliwego pod względem majątkowym pana Zbąskiego. Młodo umarł. Co się z wdową po nim stało, nie wiem.

Hrabina słuchała z uwagą, gdyż zwykła była korzystać ze wszystkiego, biedna pani Jaworkowska milczała, rozmyślając co począć. Nareście oszczędzając sobie kłopotu na przyszłość, uznała właściwem powiedzieć obojętnie, po cichu:

— Właśnie ta pani Domska jest Zbąska z domu, byłyśmy razem na pensji.

— A, — uderzając w dłonie, rozśmiała się hrabina, — to doskonale zaraz mnie z nią poznasz, bo spytać muszę, zkąd jéj córka ma ten burnus kaszmirowy! To moja admiracja!

Jaworkowska spłonęła cała, bardzo była nieszczęśliwą przez pięć minut, ale Grejfer zagadał.

— No, — zawołała Palczewska, — ty, moja biedna, bardzo się tu bawić pewnie nie będziesz. Coś zawsze niezdrowa, ale, ja muszę. To moje powołanie. Zbieram ludzi, skupiam, rozruszać umiem, bo po cóż kwaśnieć mają? Poznasz mnie z Domską — *c'est dit.*

— Moja droga hrabino, — szepnęła Marja, — ona mi mówiła, że radaby uniknąć towarzystwa, chora..

— To się nie godzi! matka, ma córkę ładną! Czy ją przeznacza do klasztoru? Cóż znowu? to dziwactwo! Ja jéj to z głowy wybiję.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

Walter przerwał mu i opowiedział po krótkości swe spotkanie z Florcią i jéj przygody. Znajdowali się właśnie pod latarnią której światło uwydatniało ową grupę, dziwnie sprzecznego składu. Naprzeciw tych dwojga dzieci, tchnących życiem i młodością, stał człowiek nie stary jeszcze, a jednak starzec w całem znaczeniu tego słowa. Włos jego biały i przygarbiona postawa zdradzały ciężar jakiejś ugniatającéj niedoli, któréj udręczenie przebijało również w łagodnem i znękanem jego wejrzeniu. Nieszczęście zużyło i zdarło tego człowieka, wszystko w nim zagasło już było, równie wyraz twarzy jak promień wejrzenia, rzekłbyś, że na wewnątrz same zgliszcza tam były. Nosił ubranie czarne, bardzo skromne ale przyzwoite, na które patrząc zdawało się, że skutkiem długiego użycia zespoliło się ono poniekąd ze swym panem i urobiło według jego usposobień, a wszystko to zarazem wzięte wyrażało posępne i nieuleczone ubóstwo, pragnące tylko, aby o nim zapomniano.

A jednak, nawet na tym niemal zamarłym człowieku, podział w téj chwili urok niewinnych nadziei młodocianego wieku; z téj prawie zagasłéj duszy błysnęła jeszcze iskierka współczucia na widok ożywienia z jakiem Walter opowiadał przygody Florci. Ale współczucie to mięszało się z przykrem jakiemś politowaniem, którego objawy zdawał się chcieć powstrzymać. Gdy Walter, skończywszy mówić, radził się co ma daléj robić, człowiek ów popatrzał na niego w milczeniu, jak gdyby w rozjaśnionéj twarzy chłopaka wyczytywał nieubłagane jakieś przeznaczenie, całkiem odmiennéj treści od uciechy, którą twarz ta obecnie tchnęła.

— Jakież twoje zdanie w tym razie, panie Carker? zapytał Walter z uśmiechem, ilekroć do mnie się odezwiesz, zawsze dobrze mi poradzisz, szkoda tylko że się to nie często zdarza.

— Sądzę że pierwszy twój pomysł najlepszym będzie, odpowiedział Carker, przypatrując się po kolei to Florci, to Walterowi.

— Ach, mój panie, zawołał Walter, czy wiesz co mi na myśl przychodzi? Oto żebyś ty zwiastował Dombeyowi tę dobrą nowinę, że się jego córka znalazła. Może się to i tobie na coś przyda z czasem. Ja zostanę u wuja, a pan z tem pójdziesz.

— Pójdę, odpowiedział Carker.

— Doprawdy? nie odmówisz mi tego? dodał Walter.

Tą razą, Carker nic już nie odpowiedział, tylko ścisnąwszy rękę młodzieńca i dodawszy radę żeby się śpieszył do domu, odszedł jakby przerażony i zakłopotany, że się w tak niezwykły rozgadał sposób.

— Chodźmy prędko, panno Dombey, rzekł Walter obejrzawszy się jeszcze za odchodzącym. Czy nie słyszałaś nigdy ojca mówiącego o młodszym Carkerze?

— Nie, odpowiedziało łagodnie dziewczę, ja tak rzadko słyszę żeby ojciec co mówił.

— Ma słuszność, i doprawdy chwalić go za to nie można — pomyślał Walter.

Po krótkiéj chwili, podczas któréj Walter podziwiał wyraz słodkiéj cierpliwości, zdobiący twarz Florci, młodzieniec zmienił nagle przedmiot rozmowy i z dziecinnem jeszcze ożywieniem jakie go cechowało, zajął się trzewikami swéj towarzyszki, która miała znowu różne z niemi kłopoty. W braku innego środka zaradzenia temu, chciał ją zanieść na ręku do mieszkania starego Sola, ale się śmiać poczęła, mówiąc że pewnie by ją upuścił, potem gdy się coraz bardziéj zbliżali do miejsca pobytu drewnianego miczmana, myśli chłopaka zwróciły się jakoś ku morzu i począł opowiadać Florci różne rozbicia i inne żeglarskie przygody, w których młodsi od niego chłopcy ratowali z największem powodzeniem dziewczynki starsze daleko niż ona, — i tak rozmowa nie przerwała się ani na chwilę aż do kresu podróży.

— Wujaszku! wujaszku! zawołał Walter wbiegając zdyszany do sklepu, co za nadzwyczajne zdarzenie! To jest córka pana Dombeya, która się zabłąkała a ja ją prawie cudem znalazłem.

Tu rozpoczął opowiadanie całego wypadku z nadzwyczajną żywością i pośpiechem. Wykrzykniki starca co chwila mu przerywały.

— Boże wielki! cóż mi powiadasz? i tyś ją znalazł? to niepodobna!

— Ja wujaszku, nikt inny jak ja, zawołał Walter, i nikomu téj chluby nie myślę odstąpić. Ale pomóż mi naprzód mój wuju ustawić tę sofkę przed ogniem, niech się panna Dombey ogrzeje, a potem ją nakarmiemy. A jest w domu jaki kawałek zimnéj pieczeni? Rzuć te trzewiki w komin, panno Floro, i ogrzéj sobie nogi, masz je całkiem wilgotne. O, jakże mi gorąco! ależ to dopiero zdarzenie, wujaszku!

Salomonowi niemniéj było w téj chwili gorąco jak Walterowi. Wszystka krew uderzyła mu do głowy z wielkiego zdziwienia i zajęcia. Pogłaskał Florcię po głowie i podał jéj szklankę wody, potem namawiał żeby co zjadła, słowem, krzątał się jak mógł, nie bardzo wprawdzie wiedząc co robi, ani czując jak go co chwila potrącał młody chłopak, który biegał po pokoju, chcąc wszystko zrobić odrazu i nie robiąc zatem nic zgoła.

— Wujaszku, za chwilę powracam, zawołał ten ostatni, chwytając za lichtarz, muszę trochę się przebrać, zaraz tu będę. Ależ sam powiedz mi to zdarzenie!

— Wypadek nie do uwierzenia, rzekł Salomon chodząc nieustannie z okularami na nosie, od Florci leżącéj na sofce do siostrzeńca latającego jak fryga po izdebce.

— A tymczasem, zawołał Walter już na schodach, niechno wujaszek dopilnuje, żeby panna Flora co zjadła koniecznie.

— O tak, koniecznie, rzekł stary, zapuszczając nóż w baranią pieczeń tak głęboko jak gdyby chodziło o nasycenie olbrzyma, nie bój się chłopcze, pamiętam ja o niéj... Idź, a wracaj prędko... Ryszardzie Wittingtonie, dodał półgłosem — trzy razy lordzie majorze Londynu.

Jakkolwiek Walter nie długo zabawił na swojem poddaszu, zanim powrócił już zmęczona do najwyższego stopnia Florcia, zdrzémnęła się. Ta krótka chwila wytchnienia i ciszy dozwoliła Gillsowi przyjść nieco do siebie, urządził wszystko w izdebce ku większéj wygodzie dziewczynki, zasłonił ją od zbyt silnego ognia, tudzież od blasku lampy, słowem gdy powrócił Walter, Florcia na dobre już spała.

— Wybornie! rzekł z cicha, ściskając wuja tak mocno, że się ten aż skrzywił. Teraz muszę pójść do mieszkania pana Dombeya, bo coś długo ztamtąd nikogo nie widać. Zaraz zabieram się w drogę, tylko wezmę z sobą kawałek chleba, bom strasznie głodny co prawda. Ty z nią zostaniesz wujaszku, tylko nie przebudź jéj czasem.

— Ale gdzież znowu! rzekł Sol. Jaka ona ładna! dodał.

— O, prawda że ładna! Nie spotkałem dotąd podobnéj twarzyczki. A teraz, bywaj zdrów wuju, już odchodzę.

— I dobrze robisz, odpowiedział Sol, który uczuł wyraźną ulgę w chwili, gdy się drzwi zamknęły za jego siostrzeńcem.

— Wujaszku! chodź no tu odezwał się tenże potwierając je znowu.

— Otóż i powraca, pomyślał Gills.

— Co ona robi?

— Cóż ma robić? Śpi.

— Wyśmienicie! — więc odchodzę.

— Nareszcie! pomyślał Salomon.

— Wujaszku! odezwał się Walter, zaglądając powtórnie do pokoju.

— Masz go znowu! mruknął stary.

— Chciałem powiedzieć, że idąc tutaj spotkaliśmy Carkera młodszego z kantoru. Otóż pożegnawszy się ze mną — a właśnie obiecał mi był pójść zawiadomić pana Dombeya o tem zdarzeniu — poszedł za nami aż na miejsce, nie dziwak że to z niego? Widziałem go wyraźnie jak odchodził, kiedyśmy wchodzili do sklepu, szedł za nami przez całą drogę jak jaki pies wierny, co pana do domu odprowadza. Pewnie chyba zapomniał, że obiecał pójść do pana Dombeya. Spieszę tam zatem. Ale co się też z nią dzieje, wujaszku?

— To samo co i przed chwilą — śpi — odpowiedział stary.

— Dobrze więc idę, a tą razą już na dobre.

W istocie poszedł i więcéj nie zaglądał do sklepu. Gills pozostawszy sam, nie uczuł jakoś apetytu do wieczerzy, ale zasiadł przy kominku i patrząc to na ogień, to na śpiącą Florcię, snuł dziwne marzenia, podobny w półcieniu tego zamroczonego pokoju, zapełnionego różnemi osobliwemi sprzętami, do czarodzieja, czuwającego nad uśpioną przez moc jego księżniczką.

Gdy się to działo w izdebce, Walter dopadłszy dorożki pędził tęgim kłusem w kierunku kamienicy Dombeya, wychylając co chwila głowę z powozu i wyrzucając woźnicy powolny krok jego koni. Przybywszy na miejsce, wyskoczył co tchu z dorożki i powiedziawszy służącemu za czem przyjechał pośpieszył za nim do biblioteki, gdzie w téj chwili panowała istna wieża Babel. Znajdowały się tam z Dombeyem, siostra jego, panna Tox, Zuzia i Polly, a wszystkie mówiły jednocześnie z niesłychaną żywością.

— Przepraszam pana, że tak wchodzę odrazu, rzekł Walter idąc wprost ku Dombeyowi, ale na szczęście mogę pana uspokoić, panna Dombey się znalazła.

Rozpromieniona twarz młodego chłopaka, włos jego rozwiany i oczy jaśniejące radością, tworzyły najdziwaczniejszą sprzeczność ze sztywną postacią bankiera, siedzącego w krześle naprzeciw niego.

— Mówiłem ci Luizo, że się ona znajdzie niezawodnie, rzekł Dombey, patrząc od niechcenia przez ramię w stronę siostry, roniącéj łzy do współki z panną Tox. Trzeba zawiadomić służących, żeby zaprzestali dalszych poszukiwań. Ten chłopak który nam przynosi o niéj wiadomość, to młody Gay z naszego kantoru. Jakimże sposobem znaleziono moją córkę? dodał zwracając mowę do Waltera, — wiem już jak się zabłąkała.

Przy tych ostatnich słowach, Dombey spojrzał wyniośle na mamkę.

— Jakże ją znaleziono i kto ją znalazł? powtórzył.

— Kto? zdaje mi się że to ja, odpowiedział skromnie Walter. Jakkolwiek nie przyznaję sobie w tym razie całkowitéj zasługi, miałem jednak to szczęście być wybranym od losu...

— Nie rozumiem co chcesz powiedzieć, przerwał mu kwaśno Dombey, dostrzegając z nieukontentowaniem żywą radość i dumę Waltera. Nie lubię słów zawikłanych, staraj się być więcéj zrozumiałym.

To czego żądał Dombey nie koniecznie było w téj chwili w mocy Waltera, czyniąc jednak co mógł, opowiedział w krótkich wyrazach jak zaprowadził Florcię do swego wuja i dla czego ją tam zostawił.

— Panno Spitfire, rzekł surowo Dombey do Zuzi, weźmiesz z sobą rzeczy potrzebne dla panny Flory i pojedziesz zaraz z tym młodzieńcem. A ty, chłopcze, będziesz stosownie wynagrodzony.

— Dziękuję panu, to rzecz zbyteczna, odparł Walter, proszę wierzyć żem o tem ani pomyślał...

— Odzywasz się po dziecinnemu, przerwał mu żywo i prawie z uniesieniem Dombey, wcale mię to nie obchodzi czyś o tem myślał lub nie, i zrobię według mego uznania. Postąpiłeś acan jak należy nie psujże teraz tego coś zrobił. Luizo, proszę cię, każ dać wina temu chłopcu.

Wzrok Dombeya odprowadził Waltera do drzwi z wyrazem jawnéj niechęci, podczas gdy młodzieniec odchodził z panią Chick, a prawdopodobnie i myśl bankiera pogoniła za nim w sposób równie nieprzyjazny, gdy go z oczu stracił.

Walter tymczasem siadłszy do powozu z Zuzią, pędził śpiesznie ku mięszkaniu wuja. Gdy tam przybył, zastał Florcię już w najlepszéj przyjaźni ze starym Solem. Wybornie się była wyspała i zjadła smacznie kawałek zimnego mięsa. Czarnooka Zuzia, którą na ten raz raczéj czerwonooką nazwać było można, tak była spłakana, uściskała Florcię z wielkiem wzruszeniem, nie łając jéj nawet wcale, potem zabrała się śpiesznie do przebrania jéj i uczesania, do nadania jéj powierzchowności przynależnéj córce Dombeya, o ile tylko wrodzona pod tym względem niedoskonałość dziewczynki, dała to zrobić. Gdy nadeszła chwila pożegnania, Florcia rzuciła się w objęcia Salomona.

— Dobranoc, rzekła, dziękuję panu za dobroć jego dla mnie.

Starzec ucałował ją tak serdecznie, jak gdyby rodzoną była mu wnuczką.

— Dobranoc ci Walterze, do zobaczenia, dodała Florcia.

— Do zobaczenia, a daj to Boże co najprędzéj, odpowiedział młodzieniec podając jéj obie ręce.

— Nie zapomnę nigdy o tobie Walterze, rzekła Florcia, wierzaj temu, nigdy.

Mówiąc to, w niewinnem uczuciu swéj dziecięcéj wdzięczności, wspięła się na palce by dotknąć twarzyczką twarzy Waltera, który podniósł ją trochę od ziemi i uściskał, patrząc na wuja bardzo zmieszany i zapłoniony.

— Gdzie jest Walter? wołała Florcia już siedząc w powozie. Dobranoc ci Walterze. Do zobaczenia. Podaj mi jeszcze rękę.

Gdy wreszcie ruszono już z miejsca, Walter i Florcia powiewali jeszcze do siebie chustkami, a tymczasem wyglądający z wystawy miczman, zdawał się razem z młodzieńcem patrzeć za odjeżdżającym powozem.

Po krótkim czasie dorożka zatrzymała się znowu przed domem Dombeya, znowu nakazano woźnicy żeby zaczekał.

— Zapewne zabierze panią Richards — szepnęła złowrogo Zuzi któraś ze służących, podczas gdy przechodziły przez sień z Florcią.

Wejście dziewczynki sprawiło niejakie, lecz bardzo umiarkowane wrażenie na osobach zebranych w bibliotece. Dombey który i przedtem mało się troszczył odszukaniem córki, pocałował ją bardzo chłodno w czoło, zalecając aby na przyszłość nie latała pokryjomu Bóg wie gdzie z niegodziwemi sługami. Pani Chick przerwała na chwilę swe utyskiwania nad zepsuciem ludzkiéj natury, wytrwale odrzucającéj najzbawienniejsze przestrogi, i powitała Florcię z życzliwością, któréj miara była wszelako ściśle zastosowaną do stopnia, w jakim to dziecię posiadało rodowe zalety Dombeyów. Co do panny Tox, uczucia téj dobrowolnéj niewolnicy wtórowały zawsze wiernie tym, których objawy miała przed oczami. Jedna tylko Richards pochyliła się ku Florci z żywem wzruszeniem i witała ją łzami i przerywanemi słowy, tak iż rzecby można, iż owa występna istota była jedyną osobą szczerze kochającą to dziecię.

— Ach! moja Richards! rzekła z westchnieniem pani Chick, ileżbyś więcéj okazała prawości i ileżbyś więcéj sprawiła zadowolenia osobom, pragnącym módz bliźnich swych szacować, gdybyś, dopóki czas był po temu, okazała należne uczucia dziecięciu, które dziś z winy twojéj traci właściwe mu pożywienie.

— Traci! zaszemrała żałośnym wtórem panna Tox, ach! traci ów wspólny zdrój ludzkiego żywota!

— Gdyby przykra ta sprawa była moją, i gdybym na twojem znajdowała się miejscu, pani Richards ciągnęła daléj Luiza bardzo uroczyście, zdawałoby mi się, że ubranie Przytulku Szlifierzy będzie odtąd ciężyło ołowiem na mojem dziecku, i że nauka tam odebrana nie wyjdzie mu na korzyść.

Nauka którą Robert odbierał w owym zakładzie, ograniczała się jak dotąd na licznych kułakach i ciężkich pokutach. Czy mu one miały wyjść na dobre? trudno to było przewidzieć, co zaś do ubrania, to w tym względzie teraźniejszość spełniała już w pewnéj mierze zapowiednie pani Chick.

— Luizo, odezwał się surowo Dombey, uważam za zbyteczne dalsze uwagi w tym przedmiocie, kobieta ta jest wolna i już zapłacona. Opuszczasz dom ten Richards, dodał z uroczystą powagą, dla tego żeś wprowadziła mojego syna — mojego syna (powtórzył z naciskiem te dwa wyrazy) w miejsce i pomiędzy ludzi, o których myśl sama dreszczem przejmuje. Co zaś do wypadku jaki dziś rano spotkał pannę Florę, uważam go za szczęśliwą i nader ważną okoliczność, bez niego bowiem nie dowiedziałbym się o winie, do wyznania któréj byłaś tym sposobem zmuszona. Sądzę Luizo że druga — mówię o pokojówce (tu Zuzia wybuchła głośnym płaczem) może w domu moim pozostać, jako o wiele młodsza i powodowana w tym razie wpływem mamki. Chciéj rozkazać aby dorożkarz który odwiezie tę kobietę, został zapłacony za kurs do Staggs-Gardens.

Dombey zaciął się nieco i zmarszczył brwi groźnie, wymawiając nazwisko téj nieszczęsnéj miejscowości. Gdy Polly ku drzwiom odchodziła, Florcia czepiała się jéj sukni, błagając żeby została. Każde słowo dziewczynki raniło jakby sztyletem przepełnione pychą serce Dombeya. Widział krew własną, córkę któréj nie mógł się wyprzeć, przywiązaną wszystkiemi siłami do obcéj kobiety, Bóg wie jakiego pochodzenia, i dziecię to śmiało okazywać swe przywiązanie w jego obecności. W istocie rzeczy nie chodziło tu właściwie o Florcię, ale czyliż podobne uczucie nie mogło się dla kogo obudzić kiedyś u jéj brata? Przypuszczenie że syn ów, przedmiot wszelkich jego myśli, może się z czasem do kogo przywiązać, napełniało dręczącą obawą duszę Dombeya.

Jak na teraz, skończyło się na tem, że Pawełek krzyczał przeraźliwie przez noc całą. Co prawda, miał biedak ku temu dość uzasadnione powody. Tracił w téj chwili drugą matkę, a raczéj tę która pierwszą mu była w zakresie jego pojęć, i ciosów równie był nagły jak ten, który obrzucił żałobą pierwsze dni jego istnienia. Podczas gdy płacz Pawełka rozlegał się po całym domu, Florcia leżała ani myśląc o spaniu w swem łóżeczku, opłakując gorzko po cichu stratę jedynéj przyjaciółki, jaką miała na świecie.

VII.

Ustronie zamieszkałe przez pannę Tox i szczegóły dotyczące jéj osoby.

Panna Tox zajmowała na wschodnim krańcu miasta mały i ciemny domek, ściśnięty i jakby przyduszony pomiędzy dwoma pokaźniejszemi kamienicami. Domek ów skromnie się kryjący w ich cieniu, niby ubogi i nieśmiały pokrewny wspaniałych pałaców dumnie na niego spoglądających z sąsiedniéj ulicy, stał w wązkim zaułku, którego smutną ciszę przerywało tylko niekiedy twarde uderzenie młotka u jakiéj bramy, lub też dzwon pobliskiéj kaplicy, wzywający wiernych na nabożeństwo. Z tem wszystkiem, odludny ów zaułek, za plac siebie uważał, a nawet nosił miano książęcego Placu. Kaplica zaś, w któréj w niedzielę zbierało się czasem do dwudziestu osób, nazywała się książęcą kaplicą. Wszystko co prawda w tem miejscu miało pretensję do książęcości, nawet szynk pod znakiem książęcéj korony, wielce od lokajów wyższego tonu był uczęszczany. Trawa porastała bujnie pomiędzy kamieniami bruku owego placu, a po za kratą ciągnącą się naprzeciw wyżéj wzmiankowanego szynku, widać było starą lektykę, zawsze niby gotową do wyruszenia ale zawsze —jak zapamiętać było można, w miejscu stojącą. Na sztachetach zaś kraty — a było ich czterdzieści ośm, według obliczenia nieraz przez pannę Tox czynionego — pojawiały się z rana w dni pogodne, w dość znacznéj ilości pozawieszane garnki żelazne i cynowe.

Na całéj przestrzeni książęcego placu dwa tylko było domy mieszkalne, zresztą same mury, a w nich tu i owdzie potężne bramy, zapewne wyjścia od stajen dziś już nie pozajmowanych, bowiem nie widywano nigdy aby się która z tych bram otwierała. Że zaś tam były kiedyś stajnie, świadczyło o tem powietrze całego placu dotąd przesycone wyziewami nawozu, a nawet okna sypialni panny Tox wychodziły na stajenny dziedziniec, gdzie wejrzenie téj pani napotykało często porozwieszane różne części męzkiego ubrania i suszącą się bieliznę.

Drugi dom istniejący na książęcym placu był własnością dawnego jakiegoś marszałka dworu, który ożeniwszy się z panną służącą w domu gdzie pełnił obowiązki, kupił tę posiadłość za grosz wspólnie uzbierany. Jeden tylko mieścił się tam lokator; był nim pewien major z twarzą barwy sinawego pargaminu i bardzo wyłupiastemi oczami, co wszystko razem nadawało mu w oczach panny Tox powierzchowność wielce marsową, jak się nieraz, mówiąc o nim, wyrażała. Niejednokrotnie bywała pomiędzy temi dwoma osobami wymiana sąsiedzkich grzeczności pod postacią gazet i książek, jednem słowem istniały pomiędzy niemi dość częste, aczkolwiek całkiem platoniczne stosunki. Służył im zwykle za pośrednika będący na usługach u majora murzyn, którego panna Tox nazywała dzikim, nie mając w tem wszelako na celu żadnych alluzji jeograficznych.

Należy wątpić aby gdziekolwiek istniały węższe

drzwi i schody od tych które wiodły do mieszkania panny Tox, i w ogóle nie było może na całym obszarze Anglji domu bardziéj niedogodnego, ale w zamian: „cóż za cudowne położenie!” jak to powtarzała z upodobaniem owa pani. Bywało tam wprawdzie skąpo światła w zimie i bardzo mało słońca latem, powietrze było także bardzo duszne, ale na to wszystko panna Tox odpowiadała: Co za położenie! Toż samo mówił i czerwony major z wytrzeszczonemi oczami, wielce pyszny tem, że mieszkał w sąsiedztwie wspaniałéj ulicy, gdzie były pałace najznakomitszych dygnitarzy. Chętnie też, ilekroć się w klubie znajdował, nakierowywał rozmowę w taki sposób, aby mógł co opowiedzieć o sprawach tych wybrańców losu, a wtedy nie omieszkiwał nigdy dodawać, że był bliskim ich sąsiadem.

Dom który zajmowała panna Tox do niéj należał, dostawszy się jéj w spadku od poprzedniego właściciela, którego miniatura w pudrowanéj peruce i z harcabem, wisiała w salonie u niéj nad kominkiem, tuż obok haftowanego pantofelka od zegarka. Większa część sprzętów zdawała się być współczesną pierwowzorowéj miniatury; odznaczała się pomiędzy niemi pękata komódka z rozstawionemi nóżkami, o które każdy przechodząc musiał zawadzić i staroświecka arfa, na któréj nazwisko fabrykanta wypisane było złotemi literami, w otoczeniu z kwiatów równie jak one zczerniałych.

Major Bagstock, tak się nazywał sąsiad panny Tox, minął już był to co w stylu podniosłym zowiemy zenitem żywota. Krótka jego szyja, szerokie szczęki i czerwoność cery zdradzająca chroniczny stan podniecenia, nie przeszkadzały bynajmniéj zajęciu jakie w téj pani obudzał. Zajęcie to łechtało wielce jego próżność; był przekonany, że potrafił zwrócić uwagę osoby należącéj do najwytworniejszego świata i chętnie dawał to do zrozumienia w uczęszczanym zwykle od niego klubie, wtrącając w rozmowę odnoszące się do téj okoliczności żarciki. W takich razach, miał zwyczaj mówić o sobie jakby o kim innym, to jest w trzeciéj osobie.

— Zapewniam panów, powiadał, że stary Józef Bagstock stanie za dwunastu takich jak każdy z was. Moglibyście doprawdy i teraz jeszcze mu pozazdrościć. Oho! szczęśliwiec to nie lada! Gdyby chciał tylko, niedaleko by mu trzeba szukać żony. Ma ją pod ręką — gdyby tylko zechciał! Ale frant z niego, moi panowie, nie tak to łatwo go złapać w sidła; jeszcze się ten nie urodził, coby w pole go wyprowadził.

Podobnym oświadczeniom towarzyszyło zazwyczaj znaczące pogwizdywanie, przyczem twarz majora bardziéj się jeszcze rozczerwieniała, a oczy jego konwulsyjnie się wytrzeszczały.

W dopełnieniu szczodrych pochwał, jakiemi major siebie darzył, musimy dodać, że był to najbardziéj wykończony jaki tylko istnieć może samolub, zawsze tylko o własnéj myślący wygodzie i korzyści. Że zaś miał przytem wiele próżności i zarozumienia, ani mu na myśl przyjść mogło, żeby ktoś potrafił go lekceważyć.

A jednak, właśnie w czasie w którym zabieramy z nim znajomość, major Bagstock szedł coraz bardziéj w zapomnienie u swéj sąsiadki, bynajmniéj się tego jeszcze nie domyślając. Usposobienie to wzięło swój początek od chwili, w której panna Tox wynalazła była mamkę dla Pawełka i odtąd wzrastało codziennie od dnia zaś chrzcin Pawełka, poczęło się wzmagać w przyspieszonym stosunku. Wyraźnie przedmiot jakiś, czyli osoba zapowiadająca obfitsze źródło korzyści, zajęła w jéj myślach miejsce majora.

— Dzień dobry szanownéj pani, rzekł ten ostatni spotkawszy ją na placu książęcym, w kilka tygodni po wypadkach, których opis daliśmy w poprzednim rozdziale.

— Dzień dobry panu, odpowiedziała bardzo chłodno panna Tox.

— Józef Bagstock, dodał major ze zwykłą zalotnością, nie miał już od dawna szczęścia ujrzeć pani w oknie. Biedne Józefisko! słońce jego po za chmurę się skryło.

Panna Tox skłoniła się zlekka, ale naprawdę wielce ozięble.

— Światłość żywota Józefa, jego gwiazda przewodnia, zapewne gdzieś temi czasy wyjeżdżała? spytał major.

— O nie, odpowiedziała panna Tox, nie miałabym nawet czasu na to. Jestem obecnie bardzo zajęta, poświęcam każdą chwilę przyjaciołom z któremi mię łączą wielce bliskie stosunki. Nawet i teraz, bardzo mi spieszno — zatem żegnam pana.

To rzekłszy, panna Tox bardziéj niż kiedy czarująca, wsiadła do czekającéj dorożki i niebawem znikła z oczu majorowi. Ten zaś pozostał czas jakiś w osłupieniu, patrząc w stronę w którą odjechała, z twarzą rozczerwienioną aż do siności i mrucząc coś pod nosem, co wcale nie wyglądało na pochwały.

— Cóż to znowu u diabła? rzekł niby wietrząc wokoło siebie, jak gdyby w niepachnących wyziewach placyku, szukał odpowiedzi na swe pytanie;— co to wszystko znaczy? Niedalej jak pół roku temu, bardzoś chętnie waćpanna napotykała Józefa Bagstocka a teraz?....

Po dojrzałym namyśle, major pozostał w przekonaniu, że była to prosta sztuczka kobieca i że panna Tox nastawiła tą razą sidła bardzo przebiegle, aby go złapać na pewno.

— Ale nic z tego nie będzie, moja śliczna pani, dodał z wewnętrznem zadowoleniem, nie wyprowadzisz ty w pole starego Józefa, twardy to orzech do zgryzienia, oho! twardy jak djabeł, a także i mądry jak on!

To rzekłszy, roześmiał się na cały głos i był przez resztę dnia bardzo wesół.

Ale gdy po dniu onym nastąpiły inne całkiem jemu podobne, stało się rzeczą jawną, że myśli i uwaga panny Tox całkiem majora odbiegły. Dawniej, zwyczajem jéj było stawać niekiedy, niby przypadkiem, w swem okienku i wtedy odpowiadała uprzejmie i rumieniąc się na ukłon sąsiada, teraz zaś nie podawała mu sposobności ujrzenia jéj i wyraźnie nie dbała wcale o jego uwagę. Pewne zmiany poczęły się też jednocześnie pojawiać w mieszkaniu tej pani. Zaglądając w nie o ile się dało z głębi swego pokoju, major ujrzał oznaki niezwykłego dostatku, stary kanarek dostał ładną klatkę z mosiężnego drutu, rozmaite drobne graciki poprzybywały na kominku, a nawet parę doniczek z kwiatami na oknach się pojawiło.

Major zauważył także iż sąsiadka wróciła do zaniedbanéj od dawna arfy, poczerniały jéj wieniec został oczyszczony, a na pulpicie ukazały się walce Kopenhagena, bardzo starannie własną ręką panny Tox przepisane.

Od pewnego też czasu, ubranie tej pani stało się dosyć wytwornem, ale nosiła same tylko czarne lub popielate suknie; okoliczność ta stała się wskazówką dla majora. Po dłuższym namyśle, zatrzymał się na przypuszczeniu, że sąsiadka jego otrzymała jakiś spadek i że nie dla innéj przyczyny stała się tak pogardliwą i dumną.

Właśnie nazajutrz po dniu w którym wpadł na ów domysł nie małą mu ulgę przynoszący, major siedząc przy śniadaniu wcale w dobrem usposobieniu, ujrzał w saloniku panny Tox zjawisko tak niespodziane i straszliwe zarazem, że przez chwil kilka pozostał jak skamieniały. Wreszcie zerwawszy się z krzesła, pobiegł do sąsiedniego pokoju zkąd wrócił niebawem z teatralną lornetką w ręku. Nastawiwszy ją spiesznie, popatrzył przez nią czas jakiś z wytężoną uwagą, potem zamknął i rzekł:

— Nie mylisz się, mój drogi panie, to jest dziecko, — gotów jestem założyć się o piećdziesiąt funtów, że to jest nie co innego jak dziecko.

Odkrycie owo wprawiło majora w tak wielkie zdumienie, że oczy jego już i tak dosyć wyłupiaste, nabrały jeszcze bardziéj przerażających rozmiarów. Chodził gwiżdżąc po pokoju, niespokojny jak lew w klatce, niepodobna mu się było pozbyć wspomnienia tego widoku. W ciągu następnego tygodnia, ponowił się on kilka razy i tak ciągle odtąd bywało.

Major coraz częściéj gwizdał i coraz bardziéj oczy wytrzeszczał. Piękna jego sąsiadka najwyraźniéj już ani wiedzieć o nim nie chciała. Gdyby znagła cera jego stała się czarną albo błękitną, aniby nawet spostrzegła podobną zmianę.

Co rano, panna Tox wybierała się z domu, żeby z sobą zabrać mamkę z dzieckiem na przechadzkę, potem wracała z niemi do siebie, bawiła się z niemowlęciem, czuwała nad nim, ochładzała młodocianą krew jego łagodnemi wrażeniami przygrywając na arfie, a wszystko to czyniła z wytrwałością prawdziwie godną podziwu. W tymże samym czasie, nabrała szczególnego upodobania do pewnéj bransoletki, którą ustawicznie oglądała, a także poczęła się wpatrywać całemi godzinami w księżyc z okna swéj sypialni, jak gdyby się oddawała sumiennemu badaniu natury tego ciała niebieskiego. Ale czem bądź bywała zajęta panna Tox, nie była nigdy zajęta majorem. Naprożno chodził on zamaszyście po pokoju, gwiżdżąc i wytrzeszczając coraz bardziéj oczy, niepodobna mu było dojść istotnego powodu tak dziwnéj przemiany.

Pewnego dnia, pani Chick rzekła do przyjaciołki:

— Widzę moja droga, że wkrótce zdobędziesz całkiem serce mojego brata.

— Panna Tox pobladła od wzruszenia na te słowa. Luiza dodała:

— Pawełek staje się coraz podobniejszy do ojca.

Za całą odpowiedź, panna Tox wzięła dziecię na ręce i uściskała je tak namiętnie, że aż pogniotła ze wszystkiem wstążki jego czepeczka.

— Czy to dziecię przypomina także matkę? spytała po chwili. Pamiętasz droga Luizo, że miałam ją poznać z twym pośrednictwem, ale niestety!... Powiedz, czy podobny do niéj Pawełek?

— Nic zgoła, odpowiedziała Luiza.

— Zdaje mi się że była... ładna? rzekła panna Tox drżącym głosem i z bijącem sercem.

— No, zapewne — odrzekła pani Chick po chwili namysłu, nie tyle może ładna ile powabna i ujmująca. Biedna Fanny nie posiadała co prawda téj rozkazującéj wyższości, któréj należało się spodziewać u żony mojego brata, ani też owéj siły i hartu duszy, których podobny człowiek był w prawie wymagać...

Panna Tox westchnęła głęboko.

— Ale w zamian była to osoba wcale przyjemna, ciągnęła daléj pani Chick — o, nawet bardzo przyjemna, a do tego dobrze miała w głowie. Nie uwierzysz kochanie, jak ta biedaczka dobrze miała w głowie.

— Aniołku mój, tyś żywy obraz twego ojca, mój ty Pawełku ukochany! rzekła panna Tox pieszcząc się z dziecięciem.

Gdyby major mógł był odgadnąć ile wiotkich nadziei, ile niewyraźnych jeszcze zamysłów i wyrachowań spoczywało na głowie tego dzieciaka, gdyby

mógł dostrzedz wirujące bezładnie około wygarnirowanéj czapeczki Pawełka, który się wszystkiego tego ani domyślał — z pewnością byłby roztworzył oczy w sposób dotąd niepraktykowany. W tym mglistym chaosie byłby bowiem dostrzegł przebłyskujące iskierki żądzy wywyższenia się, pochłaniającéj wszystkie zdolności umysłowe panny Tox, i wtedy zrozumiałby chwiejne, lecz obiecujące stanowisko téj pani w domu Dombeya.

Gdyby Pawełek zbudziwszy się kiedy w nocy, mógł był dostrzedz krążące w około jego kołyski plany i marzenia, i on także byłby miał z pewnością powód nie mało się przerazić. Ale dzieciak spał tymczasem smacznie, nie domyślając się ani poczciwych zamiarów panny Tox, ani głębokiego zdumienia majora, ani przedwczesnych smutków siostry, ani chmurnych dumań ojca. Wszystko to nie istniało dla niego, a nawet prawdopodobnie nie wiedział jeszcze o istnieniu firmy Dombey i syn na tym padole płaczu.

VIII.

Charakter Pawełka poczyna się nakreślać.

Za wpływem czasu, owego drugiego majora nie mniéj bacznie czuwającego nad synem Dombeya, jak pilnie Bagstock strzegł panny Tox, mgły okłębiające umysł dziecięcia, stopniowo poczęły się rozpierzchać, ustępując coraz silniejszym światła promieniom. Marzenia przerywające jego senność, stawały się z dniem każdym wyraźniejsze i coraz liczniejszym zastęp wrażeń i przedmiotów wokoło niego się snujący, tak po trochu z niemowlęctwa przeszedł w lata dziecinne i stał się małym Dombeyem, wielce ruchawym i gadatliwym, słowem, prawdziwie zadziwiającym Dombeyem.

Z chwilą upadku i wygnania Polly, mieszkanie jéj i starania około dziecięcia przeszły drogą zastępstwa w ręce pani Chick i panny Tox. Obie te panie oddały się z wzorową gorliwością swemu nowemu powołaniu,skutkiem czego major stracił już do reszty wszelką nadzieję poprawienia swego stanowiska względem sąsiadki. Chick zaś, oswobodzony od dotychczasowego domowego nadzoru, oddał się całkiem swemu upodobaniu do klubów i do kawiarni, co żona jego nazywała najzupełniejszem otrząśnieniem się ze wszelkich więzów moralnych i społecznych.

Pieczołowitość jaką otaczano Pawełka i świetne nadzieje jakie na nim pokładano, nie potrafiły jednak wzbogacić go najcenniejszym ze wszystkich darów — zdrowiem. Z urodzenia już wątły, zmizerniał bardziéj jeszcze skutkiem nagłego i przedwczesnego odstawienia, i przez czas dość długi zdawało się, że lada chwila biedne to dziecię wymknie się z rąk swych opiekunek, by pójść w inne światy szukać utraconéj matki. Rozwijanie się fizyczne Pawełka odbywało się z trudnością, wśród rozlicznych przeszkód i niebezpieczeństw. Każdy ząbek jego wyrzynał się, że tak powiemy, nad brzegiem przepaści, każda z chorób jego dziecięcych zdawała się być śmiertelną, w odrze gorączka o mało go nie strawiła, w kokluszu, zaledwie mu sił wystarczyło, a nigdy pomiędzy temi niebezpiecznemi przypadłościami nie nadarzyła się dłuższa nieco przerwa, tak jakby nieubłagane jakieś przeznaczenie, nie dozwalało nigdy się wzmocnić wątłemu spadkobiercy firmy Dombeyów.

Zdawało się, że mrożące wpływy chrztu Pawełka zdrętwiły w nim jakieś siły żywotne, którym chłodny cień ojcowskiéj opieki nie dał się więcéj rozbudzić; od onego dnia bowiem dziecię to było prawie nieustannie chorem i cierpiącem, a nawet, według twierdzenia pani Wickam, nad wiek i nad siły swoje doświadczonem.

Pani Wickam została następczynią Polly zaraz po wydaleniu téj ostatniéj. Była to żona jakiegoś lokaja, że zaś być żoną lokaja znaczy niemal to samo co być wdową po kimkolwiek innym, wzgląd zupełnego jéj osamotnienia stanowczo ku niéj przechylił wybór Dombeya. Z pozoru wyglądała łagodną, a raczéj łagodnie sfrapioną, brwi miała zwykle podniesione i głowę naprzód pochyloną z wyrazem politowania iżwspółczucia, którego przedmiot nie bywał wyraźnie określony. W ogóle, pani Wickam, w gruncie nie zła kobieta, miała wszelako usposobienie do zapatrywania się na każdą rzecz z najsmutniejszéj strony, i do wyprowadzania z każdego zdarzenia najbardziéj rozpaczliwych wniosków. Ku poparciu ich zaś, posiadała niewyczerpany zasób bardzo przerażających przykładów, które w danym razie przytaczała z wyraźnem upodobaniem.

Zbytecznem byłoby nadmienić, że wiadomość o podobnem uzdolnieniu pani Wickam, nie dosięgła nigdy do wyżyn w których przebywały myśli Dombeya. Niepodobieństwem było z resztą aby coś podobnego doszło do jego wiedzy, bowiem ani pani Chick, ani panna Tox nie poważyłyby się nigdy napomknąć przed nim, o stronie ujemnéj czegoś będącego w jakimkolwiek związku z Pawełkiem. Z tychże samych powodów tem mniéj wiedział jeszcze Dombey o niebezpieczeństwie, w jakiem syn jego już nieraz się znajdował. Widywał go wprawdzie często chorym, ale w pojęciach jego choroby owe dziecęce równie były nieuchronne jak mało znaczące, a im prędzéj się odbywały, tem się bardziéj wypadało tem cieszyć. Gdyby się dało w podobnym razie dostać zastępcę na ich przebycie, tak jak się go kupuje do wojska, prawdopodobnie Dombey hojnie by go opłacił, ale skoro rzecz nie była możliwą, poprzestawał na pełnem pychy zdziwieniu wewnętrznem nad dziwactwem natury, która podciągnęła jego syna pod prawa ogólne, i po każdéj przebytéj przeprawie, nabierał otuchy w przekonaniu, że o tyle ich mniéj pozostaje do przebycia, zaczem i cel o tyle już bliższy. Wszystkie bowiem myśli Dombeya, wszystkie siły i pragnienia jego duszy skupiały się coraz mocniéj około tego upragnionego celu, około chwili w któréj Paweł, dosięgnąwszy lat młodzieńczych, miał spełnić wspaniałe nadzieje, jakie wspólna tylko praca Dombeya ojca i syna, mogła urzeczywistnić.

Nieraz bywa, iż napotykamy sobkostwo u źródła najczystszych z pozoru uczuć. W przywiązaniu Dombeya do syna, bezwątpienia przeważne ono zajmowało miejsce; od dnia urodzenia swego, dziecię to stało się dla ojca tak nieodłączną cząstką wielkości i potęgi rodu Dombeyów, że niepodobna zapewnić aby w niem ów ojciec widział co bądź innego jak samego siebie. Z tem wszystkiem, jeśli zlodowaciałe to serce coś jeszcze zdolne było ukochać, bez wątpienia kochało Pawełka, jeśli się gdzieś w niem znajdowało jakie miejsce cieplejsze, to je on niezawodnie zajmował. Tylko że nie był on tam wątłą dziecinną tulącą się pod rodzicielską opiekę, ale człowiekiem już dorosłym, wspólnikiem potężnéj firmy Dombey i syn, bo go takim dziś już widziały oczy ojca, niecierpliwie patrzącego na nieuniknione przejścia, dzielące jeszcze od upragnionego celu jego spadkobiercę. Nie dla innéj też przyczyny niepokoił się tak mało Dombey częstemi chorobami Pawełka, jakbądź to dziecię tyle drogiem mu było; dziwna jakaś pewność, któréj pycha była podstawą, opanowała jego umysł, zdawało się że w przekonaniu jego czarodziejska jakaś potęga czuwała nad życiem tego dziecięcia, zaręczając że musi ono spełnić w przyszłości nadzieje, które na nim złożono.

W takich tedy warunkach doścignął Pawełek piątego roku życia. Było to dziecię drobne i wątłe, z bladą i zadumaną twarzyczką, któréj wyraz nastręczał nieraz pani Wickam sposobność do westchnień i znaczących potrząsań głową. Charakter jego zapowiadał wyniosłe usposobienie wielce obiecujące, a pojęcie jakie już miał o własnem stanowisku i o tem czego był w prawie wymagać od drugich, nic zgoła nie pozostawiało do życzenia. Pawełek nie był z natury smutny ani też uporczywy, a nawet dosyć się nieraz rozweselał, ale dziwnie jak na wiek swój, okazywał się myślącym i statecznym. Kiedy siedząc w swem krzesełku grzał się przy kominie i rozmawiał jak stary, mimowolnie przypominałeś sobie owe straszliwe istotki z czarodziejskich baśni, liczące po paręset lat wieku, a zarazem dziwacznie przypominające postacią dzieci, których miejsce zajęły przez zamianę złą siłą spowodowaną. Owo przedwczesne zestarzenie przebijało często tak w fizycznym jak w moralnym ustroju Pawełka; nieraz biegając z Florcią po pokoju, lub też poganiając konia, którym była panna Tox, padał nagle na dywan, żaląc się na nieznośne zmęczenie. Ale usposobienie to najwydatniéj się objawiało, gdy po obiedzie zasiadł przed kominkiem z ojcem, w jego pokoju. Zaprawdę, nigdy dziwniejszéj nie widziano grupy: w wysokiem krześle Dombey sztywny i uroczysty, z wzrokiem w ogień utkwionym, a tuż obok w małem krzesełku dokładny jego wizerunek w zmniejszonych rozmiarach, ale z twarzą równie starą i z poważnem mędrca wejrzeniem, tkwiącem także w odblaskach płomienia z dziwnie wytrwałą uwagą. Tu Dombey kreślący zawiłe plany i wypatrujący tory ziemskich korzyści — tam podobizna jego, snująca nici dziwnych jakichś marzeń, wywołująca zamglony orszak niewyraźnych widziadeł i tłumy myśli na wpół ukształtowanych; tu człowiek dojrzały sztywny od dumy i od krochmalu, tam zdrobniały obraz jego noszący bezwiednie też samą cechę w spadku otrzymaną—a obie te postacie tak zadziwiająco do siebie podobne i zarazem tworzące potworne przeciwstawienie.

Pewnego dnia, w takiéj właśnie chwili, po długim milczeniu podczas którego jedynym dla Dombeya dowodem; że Pawełek nie zasnął, były oczy jego błyszczące jak brylanty od odblasków ognia, — dziecię odezwało się temi słowy:

— Ojcze, co to jest pieniądz.

Zapytanie owo, mające tak bezpośredni stosunek z treścią dumań Dombeya, zdziwiło go na razie; po chwili rzekł:

— Co to jest pieniądz? powiadasz Pawle.

— Tak — pieniądz odpowiedziało dziecię opierając ręce na poręczach krzesełka, i zwracając ku ojcu starą swą twarzyczkę, powtórzył:

— Co to jest pieniądz?

Dombey znajdował się w bardzo kłopotliwem położeniu. Byłby rad udzielił synowi objaśnień co do średnich warunków obiegu, co do monety będącéj w kursie i wychodzącéj z takowego: obznajomił by go chętnie z pieniądzem zdawkowym i papierowym, z wartością giełdową kruszców i z wielu innemi jeszcze rzeczami, ale gdy pochylając się ku krzesełku, ocenił ile ono niskie było, rzekł tylko:

— Pieniądz, to sztuki złota, srebra lub miedzi, gwinee, szellingi i pensy. Wszakże wiesz to dobrze?

— O, wiem doskonale ojcze, odpowiedział Pawe-

łek. Ale nie o tem mówiłem. Chcę wiedzieć, czem jest pieniąd właściwie?

Boże wielki! jakże starą była twarz jego, gdy ją znowu podniósł ku ojcu!

— Czem jest pieniądz właściwie? powtórzył Dombey cofając nieco krzesło z wyrazem głębokiego zdumienia, jakby się chciał lepiéj przyjrzeć dobremu stworzeniu, które mu dawało to zarozumiałe pytanie.

— Chcę powiedzieć ojcze, co może pieniądz? odezwał się znowu Pawełek, zakładając ręce na krzyż, a ręce te były tak krótkie, że zaledwie na piersiach się zeszły. Potem zamilkł i patrzał to na ogień, to w twarz ojca.

Dombey przysunął się do krzesełka syna i głaszcząc go po głowie, rzekł:

— Dowiesz się o tem nie długo, mój ty człowieczku. Widzisz Pawle, dodał, pieniądz wszystko może.

To mówiąc, wziął rękę dziecka i klepał nią z lekka o swoją.

Ale Pawełek wycofał swą rączkę, jak tylko potrafił najprędzéj i począł ją pocierać o poręcz krzesła, tak jakby swą bystrość miał w dłoni i chciał ją tym środkiem zaostrzyć, poczem spoglądając znowu na ogień jak gdyby w nim szukał natchnienia i porady, powtórzył po krótkiéj przerwie:

— Jakto? wszystko, ojcze?

— Wszystko, prawie bez wyjątku, odpowiedział Dombey.

— Wszystko, to się znaczy każdą rzecz, wszak prawda, ojcze? spytał znowu Pawełek, nie zauważywszy lub też nie zrozumiawszy lekkiego zastrzeżenia zawartego w ostatnich wyrazach ojca.

— W istocie, takie jest znaczenie tego słowa odpowiedział Dombey.

— To jeśli tak jest, dla czegoż pieniądz nie zachował mi mamy? spytał Pawełek. Nie jest że on okrutny, powiedz, ojcze?

— Okrutny? powtórzył Dombey, poprawiając krawat, jakby się zastanawiał nad tem co ma powiedzieć. To co jest dobrem, rzekł wreszcie, nie może być okrutnem.

— Jeśli pieniądz jest dobrym i jeśli wszystko może, rzekł mały człowieczek wpatrując się zamyślony w ogień, to rzecz dziwna, że mi nie zachował mamy?

Ale tą razą, zapytanie Pawełka nie było skierowane do ojca. Prawdopodobnie, z bystrością swą dziecinną, spostrzegł że wywołał zakłopotanie, a może i nieukontentowanie ojca. Zdawał się więc powtarzać tylko głośno myśl swoją dla siebie, jako rzecz nad którą nieraz się już zastanawiał. Potem zamilkł, i wsparłszy brodę na ręku, wpatrywał się ciągle w płomień, jak gdyby się spodziewał czegoś od niego dowiedzieć w przedmiocie, który go zaciekawiał.

Dombey czuł się mocno zdumionym; pierwszy to raz bowiem słyszał Pawełka wspominającego o matce, jakkolwiek nie jeden już wieczór spędzali tak razem. Po pewnym czasie, ochłonąwszy nieco z pierwszego wrażenia, począł mu tłomaczyć, jako pieniądz będący w każdym razie ogromną potęgą, któréj nigdy nie należy lekceważyć, nie może wszelako zachować życia tym, dla których nadeszła pora umierać, albowiem na nieszczęście każdy człowiek umrzeć musi, a nawet i najwięksi bogacze starego miasta. Starał się jednak wykazać synowi jako pieniądz może nas uczynić potężnemi, jak nam daje cześć ludzką i świetne stanowisko, a nawet jak nieraz za jego sprawą życie człowieka bywa przedłużonem. Tu przytoczył starania jakiemi otaczał jego żonę doktór Pilkins, nieraz i obecnie do domu jego wzywany, potem mówił obszernie o słynnym konsyliarzu Pepsie, ale tego ostatniego Pawełek wcale sobie nie przypominał; jednem słowem, Dombey usiłował wyraźnie przejąć umysł syna własnemi pojęciami w tak ważnym przedmiocie. Ten zaś słuchał go bardzo uważnie, jakby większa część słów ojca była mu zrozumiałą.

— A czy może pieniądz zrobić mię silnym i całkiem zdrowym? spytał Pawełek po chwili milczenia. Wszak prawda ojcze, że nie może? dodał przyglądając się swym wychudłym rączkom.

— Jakto? alboż ty nie jesteś silny i całkiem zdrów? spytał Dombey.

Ileż lat mieć mogła twarzyczka, która się wtedy ku niemu zwróciła z wyrazem posępnéj jakiejś przenikliwości?

— Masz tyle zdrowia i siły co inne dzieci twojego wieku, rzekł Dombey.

— Nie tyle jednak co Florcia, wprawdzie ona starsza ode mnie, ale pewnie jak była w moim wieku mogła dłużéj niż ja bawić się bez wypoczywania. Ja nieraz bardzo bywam zmęczony dodał Pawełek, grzejąc sobie ręce przy kominku i patrząc w ogień tak uważnie, jak gdyby się w nim odbywało czarodziejskie jakieś przedstawienie, o ja bywam bardzo zmęczony, często tak mię wszystko boli, że sobie rady dać nie mogę. Wickam powiada że to kości.

Dombey przysunął się bliżéj z krzesłem i z lekka oparł rękę na krzyżu Pawełka.

— To pewnie bywa w nocy, rzekł, i to nawet dobrze jeśli dzieci są w nocy zmęczone, bo wtedy śpią tem smaczniéj.

— Ależ to nie w nocy ojcze, odparł Pawełek, to nieraz w dzień bywa, a wtedy kładę się u Florci na kolanach i ona mi śpiewa różne piosneczki. O, w nocy, to znowu co innego, wtedy mi się dziwne śnią rzeczy.

To rzekłszy, zamilkł i wygrzewając sobie ręce, przyglądał się im w zamyśleniu, podobny do starca lub też do chochlika.

Dombey czuł się tak zdziwiony i zakłopotany, że nie wiedział co daléj powiedzieć, milczał więc podobnież przypatrując się twarzy syna i trzymając ciągle rękę na jego ramieniu, jak gdyby ją tam przykuwała magnetyczna jakaś siła. Sprobował raz dotknąć drugą ręką głowy Pawełka i zwrócić ją ku sobie, ale zaledwie ją puścił, twarz dziecka odwróciła się znowu i wzrok jego pozostał w dogasający płomień utkwiony, aż do chwili w któréj niańka przyszła go zabrać na spoczynek.

— Gdzież Florcia? spytał Pawełek. Chcę żeby ze mną poszła.

— Panie Pawle, czyż nie pójdziesz z niańką, z twoją biedną niańką, która cię tak kocha? rzekła Wickam z wyrazem rzewnego uczucia.

— Nie pójdę, odpowiedział Pawełek, zasiadając się głębiéj w krzesełku ze stanowczą postawą istnego pana domu.

Głęboko zasmucona swem niepowodzeniem, Wickam zabrała się i odeszła, wzywając pomocy nieba w tak trudnem położeniu. Po chwili ukazała się we drzwiach Florcia. Zaledwie ją ujrzał Pawełek, podbiegł ku niéj i powiedziawszy naprędce ojcu dobranoc, wyszedł z siostrą z pokoju, a wszystko to uczynił tak żywo i zdawał się w téj chwili tyle rzeźwy i odmłodniały, że Dombey jakkolwiek pocieszony tą nagłą zmianą, czuł się nią wszelako jeszcze bardziéj zdumionym.

Zaraz po odejściu dzieci dał się słyszeć śpiew jakiś łagodny. Wtedy Dombey przypomniawszy sobie co mówił Pawełek, że mu siostra często różne piosnki śpiewała, otworzył drzwi, żeby się temu przysłuchać. Po szerokich schodach wiodących do dziecinnych pokojów, ujrzał idącą Florcię, dźwigałaz trudnością brata, który miał głowę zwieszoną na jéj ramieniu i rączką szyję jéj obejmował. Idąc śpiewała, a Pawełek wtórował jéj czasem zcicha. Tak zaszła na górę spoczywając nieraz po drodze, Dombey nie przestał patrzeć na dzieci, dopóki tylko mógł je dostrzedz, a i potem nawet przez czas dość długi pozostał ze wzrokiem utkwionym w miejsce gdzie znikły, i nie prędzéj się opamiętał, aż gdy przeciskające się przez żaluzje promienie księżyca rażąc go w oczy. przypomniały mu że czas już wrócić do siebie.

Nie daléj jak nazajutrz, pani Chick została zawezwana z panną Tox na naradę, która się odbyła przy obiedzie. Otwierając posiedzenie, Dombey zażądał, aby mu powiedziano bez ogródek i bez uwag co mniemał doktór Pilkins o zdrowiu Pawełka, a mianowicie czy nie okazał jakich obaw w tym przedmiocie.

— Trzeba bowiem przyznać, dodał Dombey, że siły tego dziecka pozostawiają nieco do życzenia.

— W tem co wyrzekłeś, kochany Pawle odpowiedziała ze skwapliwością pani Chick, poznaję zwykłą a niepospolitą trafność twojego sądu. Kilka słowami określiłeś rzecz dokładnie. Wistocie siły naszego Pawełka nieco pozostawiają do życzenia. Umysł jego zbyt jest rozwinięty na to wątłe ciało, i nie wątpię że rozmowa tego dziecięcia potrafiłaby w każdym podziw obudzić. O tak — dodała kiwając znacząco głową, kto tego nie słyszał, wyobrazić sobie nie potrafi: nie daléj jak wczoraj, to co mówił o pogrzebie..

— Radbym wiedzieć, przerwał z nieukontentowaniem Dombey, czy sobie kto nie pozwala podsuwać niewłaściwe przedmioty myślom mojego syna. Bardzo się tego lękam. Wczoraj naprzykład — mówił mi o swoich — tu głos Dombeya przybrał dźwięki gniewne, o swoich kościach.... Nie myślę aby ktokolwiek w świecie miał prawo wtrącać się do.. kości mojego syna! Czyż to jaki kościotrup?

— Ależ uchowaj panie Boże! rzekła pani Chick z niewysłowionym wyrazem godności i oburzenia.

— Sądzę i ja że tak nie jest, mówił daléj Dombey. Albo owa rozmowa o pogrzebie? Kto się poważa wspominać przed tem dzieckiem o pogrzebach? Nie jesteśmy przecież grabarzami, ani też karawaniarzami.

— Ani niczem podobnem z łaski Boga, przerwała pani Chick, z tymże samym wyrazem w głosie.

— Za prawdę, ciągnął daléj Dombey, czułem się zarówno zdziwiony jak oburzony wczorajszego wieczoru. Któż nasuwa temu dziecku myśli podobne? powiedz mi Luizo co o tem sądzisz?

Pani Chick zamyśliła się przez chwilę.

— Co tu i mówić o tem, kochany Pawle, rzekła wreszcie, zdaje mi się, że sam nie masz w tym względzie wątpliwości. Co do mnie, wyznam ci otwarcie, że mojem zdaniem Wickam ma charakter nieco posępny, nie można o niéj powiedzieć żeby była....

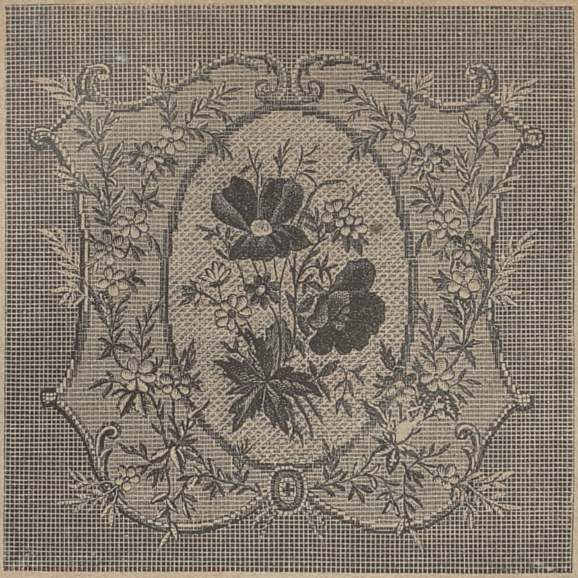
— Uśmiechniętą jak wiosna, poddała półgłosem panna Tox.

— Otóż to właśnie chciałam powiedzieć, podchwyciła pani Chick; z tem wszystkiem jest to kobieta wielce chętna i usłużna, a do tego bynajmniéj nie zarozumiała. Co się zaś tyczy tego, iż Pawełek czuje się nieraz osłabionym, należy pamiętać że ostatnia choroba nie mało go zmęczyła, dla tego też chwilowo uczuwa pewną niemoc we wszystkich....

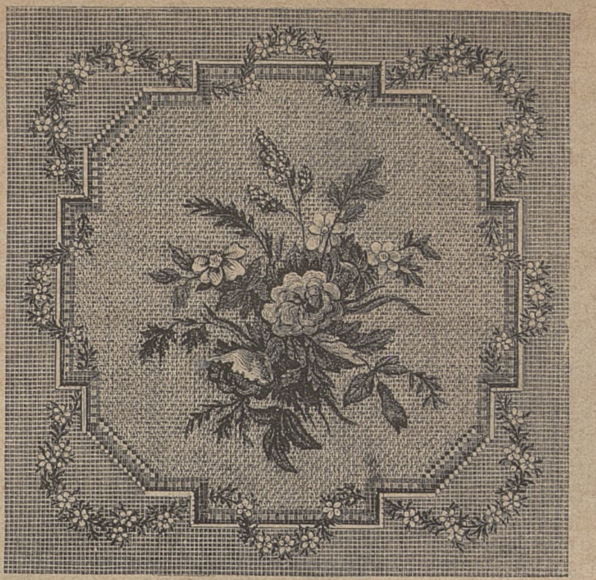
(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 46.

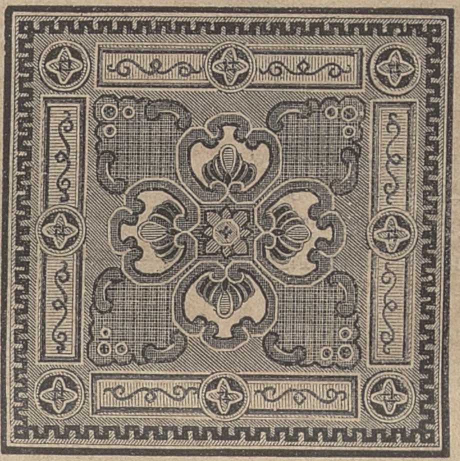
N. 25—26. Kapturek zimowy. Krój na arkuszu dodatkowym N. XIII Fig. 71 — 72. Kapturkowe baszłyki ciągle są noszone, a nowe formy mało różnią się od dawniejszych. Sukienne robią bez żadnéj podszewki, a do kaszmirowych lub jedwabnych, watowanie bywa zastąpione, podszyciem z flanelki. N. 25 przedstawia kapturek sukienny z obrębem stębnowanym, albo na wierzch odwiniętym i w górze w zęby wyciętym. Fig. 72. podaje deseń aplikacji z czarnego aksamitu, przymocowaną kordonkiem, ściegiem łańcuszkowym. Około twarzy dana riusza w ząbki wycięta; nad czołem przypięta kokarda, ułożona ze skośnego kawałka sukna z obrębem stębnowanym na wierzch odwiniętym. N. 26 przedstawia z tyłu kapturek kaszmirowy, futerkiem obłożony i przyozdobiony aplikacją z medaljonów aksamitnych, na które wzór podajemy pod N. 27 i 28. Jak widzimy medaljony dane są tylko jak szlak, w pewnych odstępach i wkoło łańcuszkowym ściegiem otoczone; można jednak używać ich jako rzutu rozsianego na całéj powierzchni kapturka.



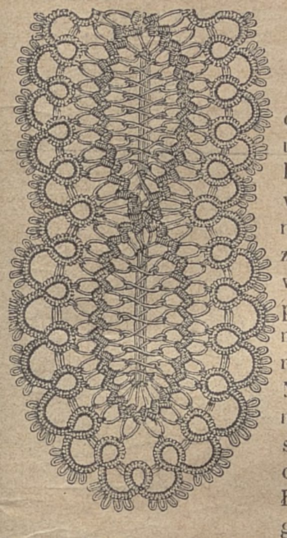
N. 1. Deseń do poduszki na kanapę. Medaljon z kwiatów. Haft krzyżykami petit point i ścieg koronkowy. Zobacz ryc. 2 Opis w dodatku z krojami.



N. 3. Deseń do poduszki na kanapę. Zobacz ryc. 4 ścieg koronkowy do zapełnienia tła. Opis w dodatku z krojami.



N. 5. Deseń do poduszki na kanapę. Arabeski w guście tureckim. Zobacz ryc. 6. Opis w dodatku.



N. 7. Barbka frywolitowa.



N. 11, Szlaczek haftem atłasko wym do kołnierzyka ryc. 10.



N. 10, Kołnierzyk muślinowy z kokardą.



N. 12. Szlaczek haftem atłaskowym do ryc. 10.

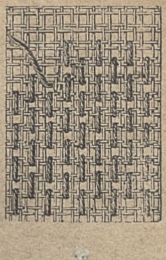
N. 27 — 28. Medaljony do wyszycia kapturka ryc. 26.

N. 29. Wałek pod głowę. Robota na drutach z nawijaniem nitki, albo szydełkiem ściegiem pluszowym.

Materjał: Włóczka angielska w różnych kolorach.

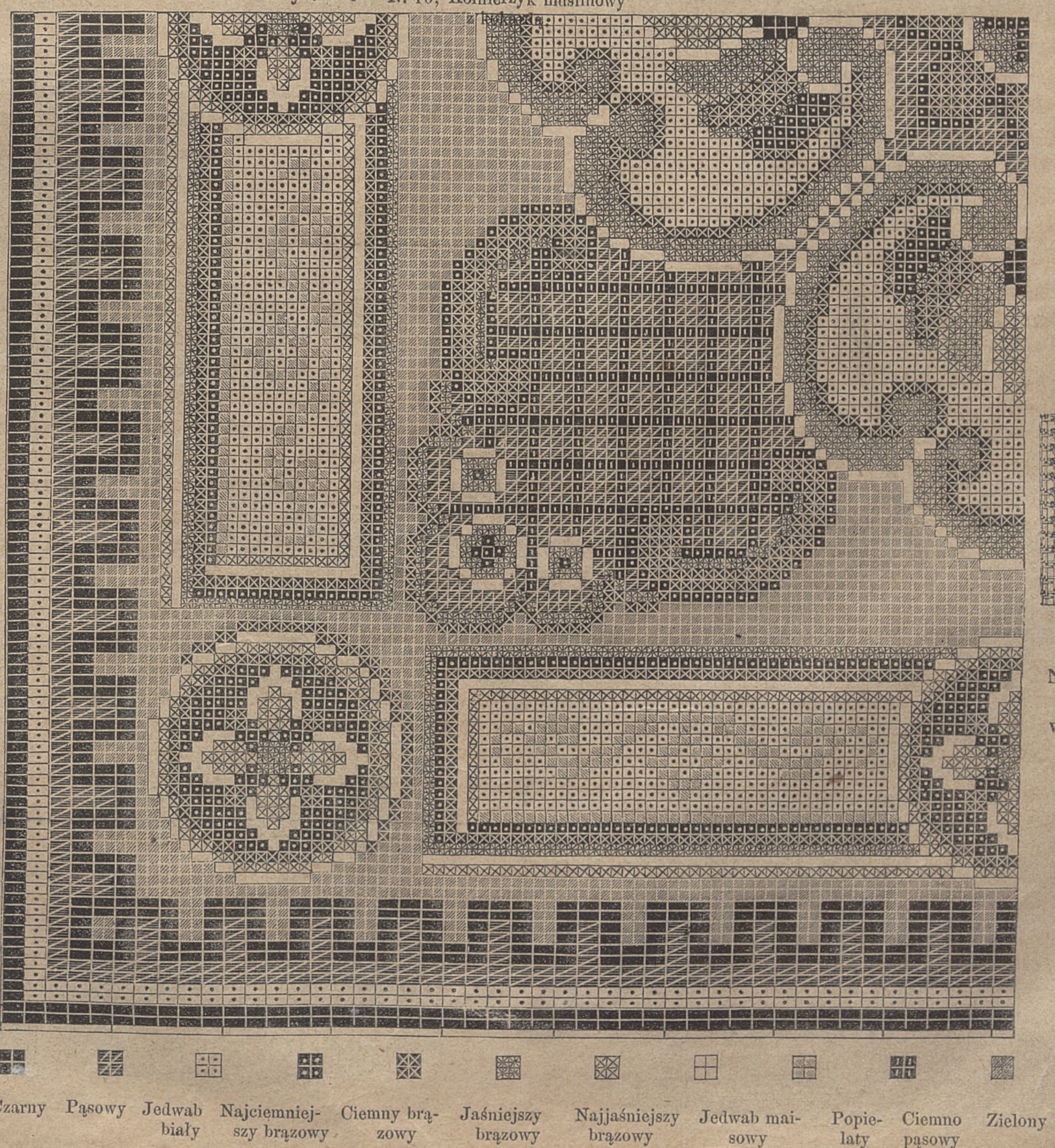
Powszechnie i oddawna znany jest czytelniczkom sposób nawijania nitki na baranek czyli ścieg pluszowy, przy robocie szydełkowéj lub na drutach.

Wybrawszy dowolnie jeden z powyższych sposobów, robi się sześć pasów, złożonych z sześciu naprzemian dawanych kwadratów, robionych z potrójnéj włóczki. Na wzorze są kwadraty ciemne, jasne i w dwóch kolorach na skos oddzielonych; w tych ostatnich jeden trójkąt jest biały, a drugi z jednéj włóczkowéj czarnéj i dwóch maisowych nitek filozeli mięszany. Kwadraty jedno kolorowe mają 9 węzłów zakręcanych wzdłuż i wszerz; mięszane wymagają 10 rzędów wysokości, ażeby mogły być zaczęte całym jednym rzędem mięszanym, a skończone jednym rzędem białym.



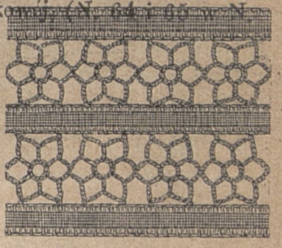
N. 2. Ścieg koronkowy do ryciny 1,

N. 30. Paletot aksamitny ogarnirowany koronką i plisami. Krój w dodatku N. VII Fig. 40 i 41. Próbkę plisowania podaje N. 24.



N. 6. Deseń na poduszkę jak rycina 5 przedstawia.

Paletot czarny aksamitny z podszewką jedwabną lekko podwatowaną i pikowaną, oszyty jest koronką gipiurową 10 i 5 cent szeroką i plisami rypsowemi 3 i pół cen. szerokiemi, z obydwóch stron zakończonemi podwójną wypustką atłasową bez sznureczka; (zobaczyć N. 24.) Rękaw jak do kostiumu „Rozalja" ryc. 15. w N. 47 Tyg. Mód, oszyty szerszą koronką i plisą, ma w rogu dodane przepięcie z rypsu 9 c. długie, a 6 c. szerokie, sztywnym muślinem podłożone. Wzory dużych guzików, przyszytych na ramionach podane w N. 47 Tygodn. rycina 66 i 67. Pasmanterja z jedwabnego sznura i kwastów lub roboty szydełkowéj (N. 64 i 65 w N. 47. Tyg. Mód) naszyta na ramionach, zakończa garnirunek z węższéj koronki i plis, dodanych na plecach w kształcie chusteczki lub szelek sięgających do pasa i spiętych kokardą lub pasmanterją. Forma do paletota ryc. 25, w N. 45 Tyg. służyć może i do ryc. 30 bieżącego numeru, z zaprowadzeniem małych zmian na rysunku wskazanych. Tak u paletotów jak i płaszczyków watowanych, na piersiach dodaje się zaszewkę.

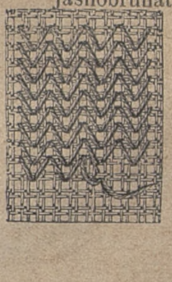


N. 8. Wstawka z koronkowéj tasiemki i gwiazd szydełk.



N. 9. Wstawka z koronkowéj tasiemki i listków szydełkowych.

N. 31. Paletot trochę do figury wcinany, oszyty futrem i ozdobiony naszyciem z jedwabnego sznura. Krój na arkuszu dodatkowym, Fig. 48 do 56. Powyższy paletocik szczególnie właściwy dla młodych osób do zimowych spacerów lub ślizgawki, odrobiony jest z jasnobrunatnego aksamitu i wyszyty sznurem tegoż samego koloru, i szeroko obłożony futrem. Rycina 31 w N. 46 Tyg. przedstawia plecy, zaś ryc. 26 w N. 47 Tyg. przody tego strojnego paletocika. Na formie podany jest zarazem wzór wyszycia sznurem jedwabnym kręconym, tegoż co aksamit koloru; małe wzory kroju wskazują sposób naszycia futra.



N. 4. Ścieg koronkowy do ryc. 3.

Opis N. 47.

N. 1— 2. Poduszka do kanapy. Medaljon z kwiatami. Robota krzy-



N. 13. Kaptur kapeluszowy.— Krój w dodatku N. XV Fig. 77, 78 i 80.

N. 15. Rękaw do kostiumu „Rozalja“ Na aksamitnéj plisie wyszycie sznureczkiem jedwabnym. Do ryc. 17 i 18.

N. 16. Tunika do kostiumu „Rozalja.“ Naszycie z plisy aksamitnéj z wyszyciem sutaszowem. Do ryc. 17 i 18.

N. 31. Luźny paletot dla małych chłopczyków od lat 3—7. Krój w dodatku N. V. Fig. 21—25. Zobacz ryc. 53.

N. 32. Sukienka z tuniką i kaftanikiem. Krój kaftanika w dodatku do Tyg. Mód N. 44 Fig. 17 i 18.

N. 20. Tunika do kostiumu „Brytanja“ przybrana aksamitem, frendzlą i wyszyciem ze sznurka. Do ryc. 21 i 22.

N. 19. Rękaw do kostiumu „Britanja“ do ryc. 21 i 22.

N. 14. Kaptur kapeluszowy, z marszczoną główką. Krój w dodatku N. XV Fig. 77, 79 i 80.

N. 47. Kapelusz okrągły z marszczoną główką.

N. 25. Kaftanik rozcinany z kołnierzem kapturkowym. Krój w dodatku N. VII Fig. 40—41. Zobacz i ryc. 57.

N. 26. Kaftanik wcinany do figury z futrzannem obłożeniem. Przód do ryc. 33 w N. 46 T. Mód. Krój w dodat. N. IX Fig. 48—56.

N. 52. Diadem do kapelusza rycina 50 i 52.

N. 41. Kaftanik wcinany do figury dla panienki od 7 do 10 lat. Zobacz ryc. 42. Krój N. XI Fig. 62—66.

N. 37 i 38. Paletocik z dubeltowym rzędem guzików dla chłopczyka od 9—12 lat. Krój w dodatku N. XII Fig. 67—70.

N. 23. Kaftanik luźny z aplikacją aksamitną i haftem. — Deseń w dodatku Fig. 32—32a i 32b. Krój na lat 14 do 16. Zobacz ryc. 27—28.

N. 24. Kaftanik rozcinany z kapturkowym kołnierzem. Ryc. 25 przedstawia plecy kaftanika.

N. 33 i 34. Paletot z kapturkiem dla dzieci od 3 do 6 lat. Krój N. VI Fig 26—30.

N. 27 i 28. Kaftanik luźny garnirowany riuszą dla panienek od 12 do 16 lat. Krój w dodatku N. III Fig. 11—13a.

N. 39 i 40. Paletocik z dwoma odmiennemi garnirunkami dla panienki od 7 do 12 lat. Krój N. X Fig. 75 i 61.

N. 42. Kaftanik wcinany do figury dla panienki od 7 do 10 lat. Zobacz ryc. 41. Krój N. XI Fig. 62—66.

N. 43 i 44. Kaftanik dla dzieci do lat 3. Krój zobacz rycinę 23 i 24 w N. 44 Tyg. Mód. Garnirunek ryc. w N. 47 Tyg. Mód.

N. 35. Paletocik z peleryną. Zobacz ryc. 54. Krój w dodatku N. VI Fig. 26 do 31.

N. 36. Paletocik naszyty pliskami atłasowemi i smelą. Zob. ryc. 55.

N. 45 i 46. Dwa kaftaniki dla małych dziewczynek. Krój jak do ryc. 23 i 24 w Tyg. Mód N. 44. Deseń do wyszycia Fig. 33 i 34 w dodatku przy N. 46.

N. 49. Kapelusz wiązany pod brodą, z gładką główką.

N. 51. Kapelusz wiązany z marszczoną główką, przedstawiony z boku do ryc. 50.

N. 17 i 18. Kostium „Rozalja“. Krój w dodatku N. IV Fig. 14— 20. Zobacz rycinę 15, 16 i 58.

N. 29. Długi paletot luźny z pelerynką. Zobacz plecy paletota ryc. 30 i ryc. 16 i 17 w N. 16 Tyg. Mód. Krój N. I. Fig. 1—6.

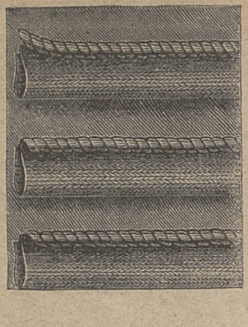
N. 48. Kapelusz aksamitny przybrany woalką tiulową.

N. 50. Kapelusz wiązany z marszczoną główką. Zobacz ryc. 51 i 52.

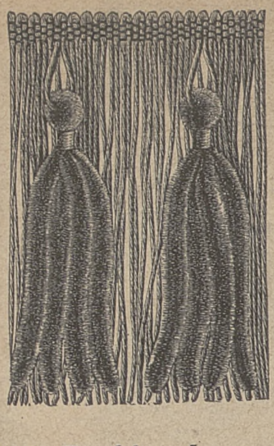
N. 30. Długi Paletot luźny z pelerynką Zobacz ryc. 16 i 17 w N. 47 Tyg. Mód. Krój N. I. Fig. 1—6

N. 22. Kostium „Britanja“—Krój rękawa i tuniki w dodatku N. VIII Fig. 42—47. Zobacz. ryc. 19 i 20

żowa, petit point, i koronkowa. Wzór roboty koronkowéj N. 2. Opis na arkuszu z krojami.



N. 53. Pliski naszyte sznurkiem do paletocika ryc. 31.



N. 58. Frendzla wełniana z kwastami sznelowemi do kostiumu „Rozalja“ ryc. 17 i 18.

N. 3 i 4. Poduszka do kanapy. Bukiet otoczony girlandą. Robota krzyżowa, petit-point, i tło koronkowe. Próbka tła N. 4.

N. 5. Poduszka do kanapy. Arabeski w guście tureckim. Robota ściegiem krzyżowym. Opis na arkuszu z krojami.

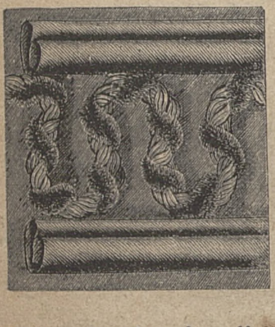
N. 6. Czwarta część deseniu na poduszkę do ryciny 5.

N. 7. Barbka frywolitowa z torsadą robioną na widełkach i ściegiem koronkowym. Do krawatki muślinowéj końce odrabia się z kłębuszkowéj bawełny, do aksamitki lub kolorowéj wstążki z czarnego jedwabiu. Ciągle odrabiany deseń służyć może na wstawkę do sukien, bluzek lub bielizny. Łatwy i wyraźny deseń nie potrzebuje opisu, dodamy tylko że frywolitki robione są dwiema nitkami, środek zaś torsadki zapełnia kratka krzyżowana, poddana paskiem matowo przecerowanym.

N. 8. Wstawka z gwiazdek szydełkowych i tasiemeczki koronkowéj. Każdy rząd gwiazdek robi się jednym ciągiem i składa z obrobienia tam i napowrót. Pierwsze obrobienie zaczyna się: 14 o. pow. złączonych 1 o. śc. w 3e oko od brzega,* 3 o. ści. w 3 pozostałe pow.; 3 o. pow. 1 o. ści. zaczepione w brzeżek tasiemeczki, 3 o. pow. 1 sł. 3 o. pow. 1 oko ści. w brzeżek tasiemeczki, 3 o. pow. 1 sł. zaczepiony w oczko kółka, (tak przy tym jak i przy wszystkich sł. następujących uważać potrzeba żeby pomiędzy niemi pozostawało 1 p. o. kółka) 21 o. pow. z których 11 złączonych na kółko; powtarzać od *. Pierwsze obrobienie daje nam dolną połowę rzędu gwiazdek; przy drugiem przyrabia się górną tasiemeczkę. W miejsce powtarzanych ciągle przy zaczęciu następnéj gwiazdki 21 pow. o. Drugi rząd zaczyna się 7 o. pow. * 1 sł. w o. kółka 3 o. pow. 1 o. ści. w brzeżek tasiemeczki 3 o. pow. 1 sł. w o. kółka 3 o. pow. 1 o. ści. w środkowe z 7-u przechodzących do drugiéj gwiazdki, 3 pow. i powtórzyć od *.



N. 66. Guzik z szydełkowem obrobieniem.

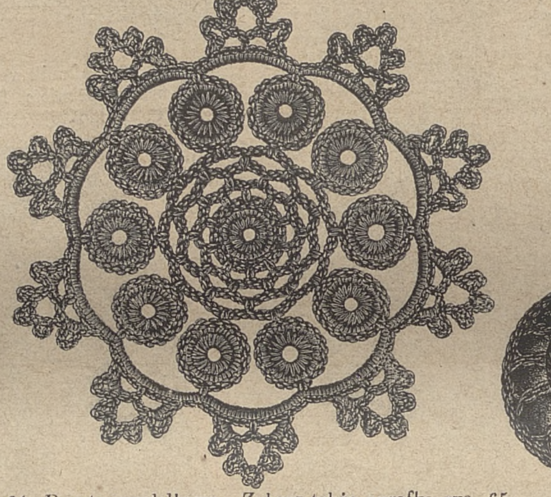


N. 55. Garnirunek z plisek atłasowych i szneli do peleryny przy ryc. 36.

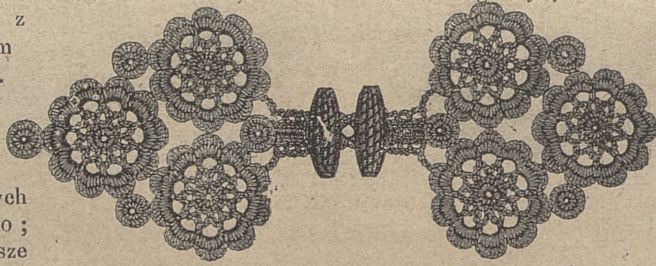
N. 9. Wstawka z tasiemeczki koronkowéj i szydełkowych listków. Listki koniczy'ny potrzebują dwóch obrobień. Pierwsze zaczyna się 1 o. ści. w brzeżek tasiemeczki, potem w równych odstępach przez całą jéj długość, daje się ząbki powietrzne z 9 o. pow. przyrabianych 1 o. ści. Obrobienie 2-gie 1 o. ści. w pierwsze ścisłe poprzedzającego rzędu, * 3 o. pow. 1 o. ści. w środkowe oko ząbka, potem obejmując cały węzeł zrobić w to samo oko, 2 o. pow. 1 sł. 2 o. pow. 1 o.ści. 2. o. pow. 1 sł. 2 o. pow. 1 sł. 2 o. pow. 1 o. ści. 2 o. pow. 1 sł. 2 o. pow. 1 o. ści. teraz następują 3 o. pow. 1 o. ści. w najbliższe ścisłe oko poprzedzającego zędu. Powtarzać od *. Dwa środkowe rzędy



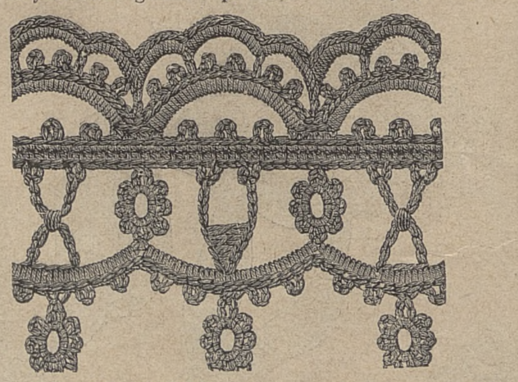
N. 60. Frendzla kwaścikowa zakończona nagłówkiem z torsady.



N. 64. Rozeta szydełkowa. Zobacz także agrafkę ryc. 65.



N. 65. Szydełkowa agrafka odpowiednia do rozety rycina 64.



N. 63. Szydełkowa pasmanterja.



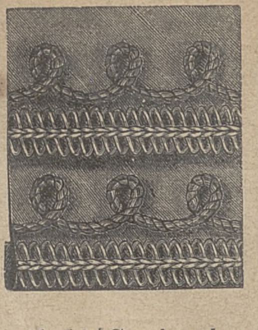
N. 61. Frendzla z szydełkowym nagłówkiem.



N. 57. Garnirunek z fałdowanéj falbany, plisy aksamitnéj z kwastami i wyszycia sutaszowego do paletota rycina 24 i 25.



N. 59. Frendzla kwaścikowa.



N. 54. Garnirunek pelerynki ze sznurka i torsadki do ryc. 35.

listków łączą się ze sobą okiem ścisłym.

N. 10 do 12. Krawatowy kołnierzyk. Do góry stojąca, muślinowa falbanka, koroneczką oszyta, przystębnowana jest do muślinowego paska, przykrytego na dół spadającą, marszczoną koronką. Aplikacja atłaskowego haftu, na którą wzór podaje N. 11 i 12, dana jest na przyszyciu falbanek. Koronką oszyte kokardki, mają 3 cen. szerokości, nieco dłuższe końce są 15 cen. szerokie i mocno przyfałdowane.

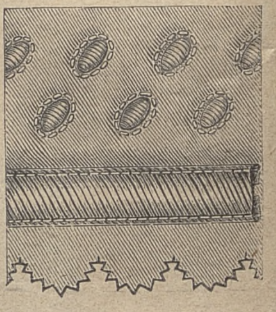
N. 13 i 14. Dwie watowane kapotki. Krój na dodatku N. XV Fig. 77—78 i 80. Jedna zamknięta i do twarzy przystająca forma, służy za podstawę do obydwóch kapotek. Podług fig. 77 przykrojona główka podwatowana, fałduje się z tyłu i przyszywa do karczka. Wierzch może być odmiennie układany i przystrajany, główna forma pozostaje zawsze jedna jako najdogodniejsza.

N. 15 — 18 i 58. Kostium „Rozalja" z długą baskiną i tiuniką. Krój na dodatku N. IV fig. 14—20.

Kostium zwany „Rozalja“, pod N. 17 i 18 podany z przodu i z tyłu, składa się ze spódnicy do ziemi niedodochodzącéj, tiuniki z boków zaokrąglonéj i stanika z baskiną. Dla lepszego wykazania podpięć i garnirunku, tiunikę podajemy osobno pod N. 16. Stanik przykrojony podług dołączonéj na arkuszu z krojami formy, podszywa się do baskiny flanelą, a pod tą ostatnią materją; przody jak to widzimy, są tylko w górnéj połowie spięte na guziki. W zwierzchniéj części rękawa, daje się przecięcie na Fig. 17 oznaczone. Na przedni i boczne bryty tiuniki podajemy także formę właściwéj wielkości, tylne zaś łatwo dopasować podług wzoru Fig. 20; długość i szerokość oznaczona jest liczbami a krzyżyki i punkta wskazują układ fałdów. Puf układa się za pomocą dwóch tasiemek 28 cent. długich, przyszytych do pasa i 55 cent. od dołu. Przyfałdowanie bocznych brytów tiuniki także jest na formie numerami, krzyżykami i kropkami oznaczone.

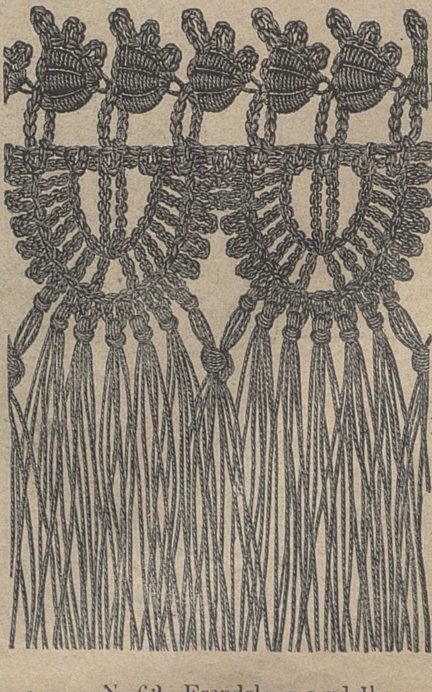


N. 67. Guzik z szydełkowem pokryciem.



N. 56. Garnirunek z pliski rypsowéj i haftu do kaftanika ryc. 43.

Dalszy ciąg opisu N. 47 nastąpi w dodatku N. 48 Tygodnika Mód.



N. 62. Frendzla z szydełkowym nagłówkiem.

KORESPONDENCJA.

Pani Karolinie U. Formę salopy posłano. Spis zaginionych numerów przysłać prosimy, a wyślemy niezwłocznie.

Pani Felicji Doma. Za posłany sprawunek należy się Redakcji ko. 50.

Pani Marji Czer. Maszynka do wyciskania liter kosztuje rs. 4.